Nr. 3. Lwów w marcu 1898. Rok XXI.



Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 lr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

Sprowadzanie żywych kuropatw i zajęcy.

W numerze marcowym „Sylwana“ umieścił p. Władysław Spausta artykuł pod tytułem „Zagraniczni goście“, w którym omawia podjętą przez galicyjskie Towarzystwo łowieckie akcyę sprowadzania żywych kuropatw i zajęcy, celem poprawienia stanu tej zwierzyny w kraju.

Szanowny autor i ceniony współpracownik „Łowca“ tłumaczy czytelnikowi w ostatnim ustępie swojego zajmującego artykułu, dlaczego artykułu tego, jak to dyktuje natura rzeczy, nie umieścił w łamach „Łowca“, tem, że tam, „gdzie przegłosowano Kazimierza Wodzickiego i liczny zastęp praktyków na tem polu, tam i zdanie teoretyka nie miałoby widoków powodzenia“.

Szanowny autor artykułu, oceniając wartość swojego głosu tak skromnie, nie ma, zdaniem mojem, racyi. Każdy argument, czy pochodzi on od teoretyka, czy od praktyka, jeżeli tylko z taką siłą przekonania jest podniesiony, jak argumenty p. Spausty, do rozjaśnienia sprawy przydać się może, choćby już tylko tem, że da powód do dyskusyi, która bardzo tu jest na miejscu. „Łowiec“, pomimo zapadłej uchwały Towarzystwa, otworzy z pewnością gościnne łamy dla każdego zdania, czy to przemawiającego za sprowadzaniem, czy też przeciw sprowadzaniu żywego materyału do kraju, bo na dokładnem przedyskutowaniu tej sprawy, ona tylko zyskać może. Dlatego sądzimy, że artykuł ten byłby bardzo na miejscu w „Łowcu“, choć widocznie nie było obawy, żeby przeszedł niespostrzeżony, bo z chwilą, kiedy piszący zgłosił się z chęcią umieszczenia w tej sprawie kilku słów w „Łowcu“, Wydział Towarzystwa miał właśnie zamiar zwrócić uwagę czytelników „Łowca“ na ten artykuł.

Zanim przystąpię do streszczenia tego artykułu i do wypowiedzenia moich uwag, uważam za odpowiednie

skreślić obecny stan sprawy sprowadzania kuropatw i zajęcy do kraju, na podstawie informacyi, których mi biuro Wydziału łaskawie udzieliło — bo stan tej sprawy nie jest bez wpływu na ewentualny tok dyskusyi.

Sprawozdanie Wydziału przedłożone ostatniemu Walnemu Zgromadzeniu stwierdziło, że z powodu niepomyślnych warunków klimatycznych w tych krajach, które mogły nas zaopatrzyć w żywy materyał, podane w ofertach ceny były tak wysokie, że oczywiście opłacić się taka akcya nie mogła. Dość powiedzieć, że za parę kuropatw żądano, i to w ograniczonej ilości, po 4 złr., za zajęczyce po 7 złr.! O bażanty zdawało się, że jest łatwiej — ale tu znowu, gdy przyszło do zamówień, pokazało się, że maszyna jeszcze dostatecznie nie jest umontowana, bo te firmy, które oświadczyły się z gotowością odsprzedania bażantów, wcale na pisma, zawierające konkretne zamówienia Wydziału, nie odpowiedziały. Jest to rzeczą zresztą naturalną — każdy początek jest trudny i każda rzecz wymaga pewnego skrupulatniejszego przygotowania niż te, które Wydział dotychczas, przy najlepszej woli i chęci, mógł poczynić. Wynika jednak z tego, że o jakiejkolwiek wydatniejszej akcyi w tym kierunku mowy być w tym roku nie może, wskutek czego kwestya jest otwarta i każde zdanie wysłuchanem być może.

P. Spausta uważa akcyę Towarzystwa za wczesną i nieodpowiednią. Wydaje mu się ona finałem, rozpoczętym wtedy, gdy jeszcze w przeważnej części kraju prolog nieskończony. Obawia się fiaska tej całej polityki importowej, żal mu krajowego grosza, który ma powędrować w obce kieszenie i jest zdania, że gdyby część tej forsy, jakiej się ma użyć w celu importu kuropatw, bażantów i zajęcy, obrócono na poprawę stosunków łowieckich w kraju, dałby się zwierzostan podnieść środkami domowymi, bez pomocy zagranicy.

P. Spausta wskazuje na rewiry, w których stan zwierzyny bez importu obcego, podniósł się w naturalny sposób, przez starania i zabiegi, jakich nie szczędzono celem ochronienia zwierzyny i dania jej warunków należytej egzystencyi, do rozmiarów godnych zupełnego uznania i słusznie twierdzi, że zwierzostany, sztucznie do takiego stanu, jak w zachodnich krajach Europy, wyśrubowane, zachwycić prawdziwego myśliwego nie mogą. Kraj nasz nie jest jeszcze tak ubogi w zwierzynę, żeby koniecznie potrzeba mu było importu — przy odpowiedniem, wzorowem pod względem łowieckim postępowaniu, dojść można do doskonałych rezultatów.

„Gdzie niema solidarności zawodowej w dążeniu do jednego celu, na który wskazuje interes własny, gdzie zaślepienie, ciemnota lub idyotyczna złośliwość zniszczyć może w jednej chwili to, co było przedmiotem starań drugiego, gdzie na szeroką skalę prowadzi się polityka skórkowa z drapieżnikiem, a ubija się wszystko, co żyje ze zwierzyny pożytecznej, bo to na drugi dzień może przemknąć poza granicę sąsiada, tam wielce utrudnioną jest egzystencya zwierzostanów, nawet w dobrze administrowanych rewirach i prawdziwą niespodzianką są i te rezultaty, do jakich się tam dochodzi“. — Jeżeli takie wpływy działają ujemnie na mnożenie się zajęcy, to działają one wprost zatracająco na kuropatwy, tak, że rzeczywiście dziwić się należy, jeżeli wśród tych stosunków uchować się potrafi kilka stad kuropatw w jakiej okolicy. Sama podnosząca się kultura rolna, która rodowi zajęczemu bynajmniej nie szkodzi, przyczynia się niemało do ubytku kuropatw. Na wiosnę, w chwili wyboru miejsca na gniazdo, znajduje kuropatwa najdogodniejsze na razie schronienie w podrosłej i gęstej koniczynie — tam, jeżeli już nie kaleczy lub niezabija jej kosa, to przynajmniej spędza kurę z jaj i niszczy pierwsze zniesienie tak późno, że drugie nie ma już szans udania się. Pastuchy, psy, koty, lisy i wszystkie inne „zwierzęta“, czyhające na żywot biednej kuropatwy, nie pozwalają na dziesięć w dziewięciu wypadkach na szczęśliwe wywiedzenie młodych. P. Spausta radzi zatem, przedewszystkiem starać się o usunięcie niebezpieczeństw tego rodzaju lub zredukowanie ich do minimalnych rozmiarów, radzi urządzić schroniska dla zwierzyny, a dopiero potem przystąpić do sztucznej rozmnoży, jednak nigdy w drodze importu kuropatw, lecz jedynie zapomocą wylęgiwania jaj przez indyczki lub kury. Jest to zdaniem autora jedyny i najtańszy sposób do rozmnożenia kuropatw. Podnosi słusznie p. Spausta, że kuropatwy obce, trapione nostalgią, wypuszczone na wolność, przenoszą się z miejsca na miejsce, pozwalają mijać najodpowiedniejszej porze do lęgów i giną w przeważnej części bez żadnego śladu — wśród tego mrowia czworonożnych i dwunożnych, skrzydlatych i nieskrzydlatych drapieżników. P. Spausta powołuje się na zdanie Kazimierza hr. Wodzickiego, który stanowczo nie radzi zimować obcych kuropatw, bo będzie się miało koszta, a kuropatw na swoim gruncie mieć się nie będzie, przemawia zaś za kuropatwami wychowanemi przez guwernantki kokoszki lub indyczki. Przytacza również zdanie praktycznego hodowcy zwierzyny, łowczego łańcuckiego p. Lewickiego, który także twierdzi, że zamykanie kuropatw na zimę, ani też zakupywanie ich skądinąd do celu nie doprowadza, a najlepszy i największy skutek przynosi zbieranie jaj, a szczególnie tych, które kuropatwa w niestosownych i narażonych miejscach złożyła i podsadzanie ich pod indyki i kury. Ze sprowadzonych jaj z zagranicy był według relacyi p. Lewickiego także niezły rezultat. P. Spausta kończy swoje wywody życzeniem, aby sprowadzanie kuropatw nie stało się modłą ogólną, jeżeli już nabyte doświadczenia inną drogę wskazują.

Trudno nie przyznać racyi prawie wszystkim jego wywodom, jednakże przedewszystkiem nasunęła mi się myśl, że artykułem swoim rozpoczął walkę przeciw wiatrakom. Zdawało mi się bowiem z tenoru wniosku hr. Starzeńskiego i z tenoru uchwały Towarzystwa, jak wogóle z dalszych kroków wydziału w tej sprawie i z wszystkiego tego, co się w tej sprawie mówi i pisze, że staranie się o rozmnożę kuropatw w ten właśnie sposób, tj. przez sprowadzenie żywego materyału nie jest obowiązujące, że przedewszystkiem chodziło o poruszenie myśli podniesienia stanu zwierzyny i że sprowadzanie żywych kuropatw podano jako jeden ze sposobów do tego celu dążących. Z góry oświadczam, że nie mam wielkiego zaufania, żeby sprowadzanie kuropatw żywych samo przez się mogło wiele rezultatów przynieść, ale przecież sądzę, że pożytek nie jest wykluczony. Za kompetentnego w całem słowa tego znaczeniu uważać się nie mogę, ale dość doświadczyłem sam w tej sprawie i napatrzyłem się dosyć doświadczeniom innych. Chowałem sam przez zimę kuropatwy u nas łapane i zapasłem je. Była to pierwsza próba. Druga również się nie udała, chociaż starałem się dawać mało pożywienia i mieszałem ziarno z zieloną paszą. Pierwsze kuropatwy, które miały podostatkiem pożywienia, były dzikie od pierwszej do ostatniej chwili, drugie trochę głodzone, którym sam zawsze jeść dawałem, przyzwyczaiły się i jak kury

jadły z ręki. Nie wątpię, że to przyzwyczajenie się do uważania człowieka za przyjaciela, a psa, — który zawsze był przy żywieniu i stał do nich godzinami, lecz karny nic im złego nie czynił — za obojętnego widza, przyczyniło się do ich zguby. Widziałem 25 par sprowadzonych kuropatw od firmy, która dawała rękojmię, że uczciwie towar wysłała. Puszczono je lege artis na drugi dzień po sprowadzeniu i absolutnie niczego się z nich nie doczekano Z 50 sztuk zostało na jesień trzydzieści kilka i latały razem. Stan kuropatw zaś ani o jedno stadko się nie pomnożył. Odebrałem z rąk pastuchów dwanaście jaj, dopiero co wybranych — podsadziłem je pod kurę i doczekałem się dziesięciu piskląt. Karmione przeważnie mrówczemi jajami rosły jak na drożdżach. Porobiwszy doświadczenia z przepiórkami, że stare kury wodzące młode przyjmują dość chętnie sieroty z drugiego gniazda pod opiekę, zabrałem moje kuropatwy, gdy już na dobre w pokoju podrywać się zaczęły, do lekkiego worka, wyniosłem je w paszę, gdzie widziałem, że jest wywiedzione stadko kuropatw i położyłem worek na ziemi, sam zaś oddaliłem się. Wyszły cichutko, bez podrywania się i bez wabienia. Gdy jednak w kilka tygodni przeszukałem paszę i całą okolicę paszy, znalazłem tylko jedno stadko kuropatw ze starą kurą i kogutem, liczące tylko 11 sztuk razem — moich zatem kurcząt tam nie było i co się z niemi stało, nie doszedłem nigdy, choć pilnie ich szukałem.

W dwóch miejscach widziałem próby robione z bażantami — i to ze sprowadzonymi żywo i z wywiedzionymi ze sprowadzonych jaj. Połowę jaj zawsze uważać trzeba za przepadłe — ale z drugiej połowy wywodzą się doskonale bażanty i odpowiednio chowane wyrastają pięknie. W żadnym jednak wypadku nie doczekano się potomstwa. Jedno gniazdo, które założyły bażanty w ogrodzie, zniszczyły wrony, spędziwszy kurę z jaj, pomimo, że kogut był bardzo dzielny i skakał odważnie na psy i ludzi, zbliżających się w okolicę gniazda.

Próby, o których słyszałem, a z ciekawością o ich wyniku się dowiadywałem, także właściwie dodatnich rezultatów nie przynosiły.

Z tego, co o moich własnych doświadczeniach i o znanych mi próbach powiedziałem, zdawałoby się, że zrażony ich bezowocnością nie powinienem był wyżej wyrazić zdania, że sprowadzanie kuropatw, które bez wątpienia najmniej jest ze wszystkich środków ich rozmnażania skutecznem, nie obeszłoby się bez korzyści. Niema w tem żadnej sprzeczności, przynajmniej w moim umyśle — bo najpierw należę do tych, którzy się niełatwo zrażają i jestem przekonania, że robić coś jest zawsze lepiej, niż nic nie robić — a powtóre, nie wiem na pewne, czy przecież kto inny, praktyczniejszy lub szczęśliwszy nie doczekał się lepszych rezultatów, niż ja i moi znajomi, ze sprowadzonych kuropatw. Nie wiem także, c z y n i e d a ł o b y s i ę s p r o w a d z a ć k u r o p a t w d o p i e r o n a w i o s n ę ł a p a n y c h. Wyjaśnienia w tym względzie byłbym bardzo ciekawy. Wiem, że łapanie na wiosnę musi być znacznie trudniejsze i kuropatwa taka musiałaby być droższą, ale kto wie, czy nie opłaciłoby się to lepiej, bo uniknęłoby się tego, co zawsze przy przezimowanych kuropatwach grozi, tj. zapasienia i wydelikacania. Toby odpadło — zostałaby tylko nostalgia, której, kto wie, czy nie zwyciężyłaby natura wśród tej naszej prześlicznej wiosny, gdzie taka, jak mówi p. Zagłoba, panuje lubość aury, że wiór za wiórem biega. Możeby przecie takie kuropatwy i na obczyźnie pomyślały o gniazdku. Kontent byłbym, gdybym się dowiedział, że tu i ówdzie sprowadzono na przykład takie kuropatwy — bo wiem, że właściciel polowania, z chwilą, kiedy zdecydował się na wydanie pewnej sumy na zakupno żywych ptaków, wydał już polecenie straży leśnej aby przynosiła nóżki zabitych drapieżców i oznaczył na ich „głowę“ cenę, dowiedział się już, czy gdzie nie można dostać puhacza, jeszcze w lutym kazał przegonić kilka razy te miejsca w swoich rewirach, gdzie lis lubi przebywać i z wielką dla siebie przyjemnością rozciągnął kilku tych rozbójników, że upatrzył już miejsce na remizy i kazał na gwałt obsadzić je krzakami, na początek skąd innąd przeniesionymi, jednem słowem zaopiekował się zagranicznymi gośćmi, za co jak zwykle zresztą nie oni, lecz te nieuznane proroki domowe mu się odwdzięczą, bo i one z tej opieki korzystać będą. Jestem przekonany, że pójdzie dalej w tym kierunku — wyznaczy nagrodę kosiarzom, którzy znajdować będą gniazda czy to kuropatw, czy przepiórek, aby naokoło nich zostawiali kępki potrawu i przedewszystkiem ich nie ruszali, a gdy czas lęgu, który już w chwili pierwszej kośby potrawu znacznie nieraz postąpił, nie liczy się na miesiące, lecz na dni, każe pilnować tych miejsc przed psotnikami. W kilka dni po wyprowadzeniu potomstwa jest już kuropatwa i przepiórka bezpieczną przed najszkodliwszymi rabusiami dwunożnymi. Że skutek takiego postępowania będzie wybitny, o tem nie wątpię, jak również o tem, że zachęci on właściciela polowania do dalszej pracy w tym kierunku. I tak w zimie nie zapomni zbudować dla ptactwa budek, których praktyczność wypróbowana, rzucać im będzie ziarno i znowu strzedz przed drapieżcami.

W każdym myśliwym, a zarazem gospodarzu, jest tyle materyału na dobrego hodowcę zwierzyny, że niema obawy, aby w końcu i pasyjka i w tym kierunku się nie wytworzyła, a że to będzie dobrze dla stanu łowiectwa krajowego, o tem wiele mówić nie potrzeba. A gdyby jeszcze była jakaś zbiorowa akcya, co przecież jest przynajmniej między kilkoma sąsiadami myśliwymi możliwe, rezultaty byłyby wprost świetne. D l a t e g o j e s t e m s t a n o w c z o z a c z y n i e n i e m k a ż d e j p r ó b y — skutki jej czy dodatnie, czy ujemne na pierwszy rzut oka, nie zginą. Podzielam zupełnie argumenty p. Spausty, ale, jak powiedziałem, bałbym się, aby tak poważny głos nie odstręczył kogo od robienia prób, choćby ze sprowadzaniem kuropatw. Owszem zaczynać, ruszać tę sprawę — skutki przyjdą. Nie potrzebujemy wynosić pieniędzy za granicę — rozpytujmy się wcześnie a dobrze i dokładnie w zachodniej Galicyi koło Chrzanowa, Oświęcimia, Białej, czyby nam tam nie odstąpiono kuropatw, oczywiście w roku przyszłym, a ręczę, że dostaniemy odpowiedź przychylną.

Delegaci tamtejsi naszego Towarzystwa z pewnością pomogą nam dużo w tym kierunku. Sprowadzanie żywego materyału nie zaszkodzi, na to powszechna zgoda — wydatek zaś nie będzie tak wielki, żeby się na niego przynajmniej część naszych właścicieli nie mogła zdecydować, pośrednie zaś skutki, o których wspomniałem, będą bardzo wydatne.

Jeżeli co jest przeszkodą w rozpowszechnieniu takiej akcyi, to mojem zdaniem brak fachowych praktycznych wskazówek, jak postępować należy przy podnoszeniu stanu kuropatw. Tutaj nasi praktycy mogliby dużo dobrego uczynić, gdyby zechcieli, choćby krótko, ale dosadnie skreślić sposób postępowania czy to przy przechowywaniu przez zimę kuropatw, czy też przy powierzaniu jaj kuropatwich kurom lub indykom. Na wiele pytań, które sobie może

postawić w tej sprawie przeciętny myśliwy, jest jeszcze brak odpowiedzi. Mógłby je dać niejeden w kraju myśliwy — nie wątpię, że mógłby je dać p. A. A. R., który jak z jego artykułu w jednym z ostatnich numerów „Łowca“ widać, zajmował się przechowywaniem kuropatw przez zimę z dobrym widocznie skutkiem, mógłby je dać p. Lewicki i z pewnością wielu innych jeszcze.

Jeżeli zabrałem w tej sprawie głos, ja, który nie jestem zupełnym laikiem, ale nie mam prawa uważać się za kompetentnego, to stało się to jedynie dlatego, że bałem się, aby głos p. Spausty, bardzo racyonalny zresztą, co do wywodów, nie przyczynił się do zniechęcenia ogółu naszych myśliwych do czynienia prób. P. Spausta mówi bardzo słusznie w zasadzie: „zrób porządek ze szkodnikami, potem myśl o wprowadzeniu kuropatw w wyporządkowany rewir“. Na to przeciętny myśliwy założy ręce i nic nie zrobi. Ja wolałbym powiedzieć: „Masz tu parkę kuropatw — może się one nie będą niosły, ale za to nikt dukata nie da, czy się nie będą niosły — pilnujże je dobrze, opiekuj się niemi, choćby dla przekonania się, czy tobie może uda się to, co innym się nie udało“. Sądzę, że przecież jakiś skutek takie postawienie rzeczy odniesie — nabywa ona w ten sposób charakteru konkretnego i bliskiego zadania, do którego rozwiązania każdy z większą ochotą się zabierze.

Muszę tu skonstatować, że jeżeli hr. Wodzicki mówi o małych rezultatach z przezimowania kuropatw, to ma na myśli tylko „obce“ kuropatwy, to znaczy nietylko zagraniczne, ale nawet od dalszego sąsiada wzięte. Że przechowanie przez zimę własnych kuropatw jest rzeczą bardzo skuteczną dla ich rozmnoży, to zdaje się nie ulegać wątpliwości.

Pozostaje jeszcze kwestya bażantów i zajęcy.

Bażanty, zdaje mi się, są łatwiejsze do rozmnożenia niż kuropatwy. Tak jak ryby do skrobania żywcem, tak przyzwyczaiły się one do „sztucznego“ rozmnażania.

Praktycznych podręczników do chowania bażantów jest dosyć, tak, że sam chów nie przedstawia nieprzezwyciężonych trudności, tem bardziej, że i żywego materyału nie trudno dostać i jaj można nabyć podostatkiem.

Wiem, że chodzi tu o chów bażantów „na dziko“ i sądzę, że to nie jest rzeczą zbyt trudną doprowadzić do tego, żeby ten piękny ptak razem z innymi naszymi kurakami ożywiał nasze pola, łozy i krzaki.

Co do zajęcy zaś, to jestem najzupełniej przekonany, że importowane mogą się jak najlepiej mnożyć i przyczynić się do powiększenia stanu zajęczego w naszym kraju bez wielkich trudów i zachodów. Kilka zachodnich powiatów w Galicyi mogłoby bardzo dobrze zaspokoić doraźne potrzeby powiatów wschodnich. Zresztą zając, któremu się tylko trochę opieki udziela i nie strzela się go „na kuchnię“, mnoży się szybko i bez pomocy importowanych.

S.

Wspomnienia z polowań na Ukrainie.

Napisał

ALBERT MNISZEK.

Dokończenie.

W królestwie ptaków na Ukrainie reprezentowanych, nieposlednie również miejsce zajmuje słonka. Gdy przyjdzie pora ciągu, wszędzie jej pełno. Spotykałem je w trzcinach przeplatanych łoziną i wierzbą nad stawami; mnóstwo ich w parku, w każdym klombie w ogrodzie, gdzie tylko drzew lub krzaków kilka, stamtąd z pewnością słonka wyleci. Poluje się na nie zwykle z psem legawym w starych dębinach. Raz zastaliśmy ich w takim lasku taką ilość, że w przeciągu godziny wystrzelaliśmy wszystkie naboje i wróciliśmy do domu.

Przepiórek zwykle dużo na Ukrainie, kuropatw za to mało. Tępią je lisy i jastrzębie.

Cóż powiedzieć teraz o czworonożnej zwierzynie?

Trzeba przyznać, że od czasu zaprowadzenia tam bardzo surowej i racyonalnej ustawy łowieckiej stan zwierzyny poprawił się znacznie. Zajęcy jest w niektórych rewirach nawet dużo. Sądzę naprzykład, że u mego kuzyna w Nowochwastowie padłoby na polowaniu z naganką w kilka strzelb najmniej pięćdziesiąt zajęcy. Sarn za to przerażająco mało. Wprawdzie w dobrach hr. Branickich w Białocerkiewczyźnie jest ich dużo i zapraszani goście biją rocznie rogaczy na setki na podjazdach, to jednak śliczny ten stan sarn w dobrach wspomnianych jest niestety jedynym tylko wyjątkiem w całej gubernii kijowskiej i zawdzięcza tylko rozmaitym też wyjątkowym okolicznościom swe istnienie.

Z postępującą szybkim krokiem naprzód kulturą łowiecką wycofuje się ród wilczy z ukraińskich kniei. Przed kilkoma ledwie laty można było wilka spotkać w byle jakim lasku; tak naprzykład pojechali raz moi znajomi w jesieni na słonki do najbliższego lasku i przywieźli do domu dużą, przypadkowo napotkaną tam wilczycę. I ten fakt nie należał do niezwykłych. Dziś przeciwnie fenomenem jest zabicie wilka.

W ogóle polowania na wilki gniazdowe w jesieni, stały się rzadkością, trafiającą się w jednej okolicy raz na lat kilka. Tamtejsi Nemrodzi martwią się tem bardzo, nie bacząc na szkody, jakie im wilki wyrządzały i przyznam się, że mają i słuszność, bo ze zniknięciem tych drapieżników ustały i nader zajmujące, a jedyne w swym rodzaju polowania. Nie od rzeczy będzie poświęcić im tu kilku wierszy.

Każdy zamożniejszy obywatel myśliwy na Ukrainie, trzyma do dziś dnia liczną psiarnię gończą i w tem widziałbym właśnie powód braku sarn. Niektóre psiarnie były i są bardzo renomowane, jak naprzykład sławnie dobra i liczna psiarnia pana Abramowicza, w Leszczyńcach. Muszę tu wspomnieć o prawdziwie rzewnym epizodzie.

Gdy lat temu kilka na cmentarzu oddawano ziemi zwłoki śp. Abramowicza, wielce cenionego obywatela i myśliwego (ojca dzisiejszego właściciela Leszczyniec), kilkadziesiąt jego psów gończych wyrwało się z psiarni i grało po lesie, jakgdyby czuły się w obowiązku zmarłemu panu oddać w ten sposób ostatnią i pewnie miłą mu przysługę. I na odgłos tej wspaniałej muzyki serca żywiej zabiły i łzy popłynęły uczestnikom smutnego aktu na wspomnienie niedawno wspólnie jeszcze doznanych uciech myśliwskich.

Polowania na wilki gniazdowe urządzają się we wrześniu. Gdy myśliwy wie już na pewno, że w tej lub w owej kniejce ma gniazdo wilków i gdy ta kniejka jest oddzielną dla siebie całością, co na Ukrainie najczęściej się zdarza, zamyka lasek ten sieciami rano przed polowaniem. Jeżeli jednak gniazdo wilków jest w dużym lesie, trzeba koniecznie przekonać się, w której części kniei wilki w dzień polowania zalegną. Jest na to sposób zupełnie pewny.

Trzeba je w wilię polowania wieczorem zawabić. Gdzie się odezwą, tam będą jutro z pewnością. Niektórzy wabią raz jeszcze do dnia w dzień polowania, ale to jest rzeczą zbyteczną. Wabienie jest rzeczą bardzo trudną i wabić nie każdy leśny potrafi. Jeden ton wydany nie correkt wilczy, wypłoszy szanowną familję na milę i polowanie przepadło. To też w wielu miejscach nie wabią, wolą polować na nie pewne. Byłem raz świadkiem wabienia. Pojechałem z gajowym panów Starzyńskich z Paniowiec na Podolu ros. sławnym wilczarzem, do kniei koło godz. 9 wieczorem w wilię polowania.

W części lasu, gdzie najczęściej młode wilczęta spotykano, położył się gajowy twarzą do ziemi i przyłożywszy do ust trąbkę zrobioną z rąk własnych, zawył. — I jakby na zawołanie odezwały się głosy, które nieobytego z tą manipulacyą grozą przejąć musiały, tyle było okrucieństwa i jakiejś strasznej bestyalności w tem wyciu. Kilka głosów dało się słyszeć koło nas tak blisko, że mimowoli wpatrywaliśmy się w mrocz leśną, czy nie ujrzymy pary świecących się oczu. Wynieśliśmy się wtedy cicho z lasu, a na odbytem nazajutrz polowaniu padła cała rodzina wilcza, częścią od naszych strzałów, częścią rozdarta przez dzielne psy panów Starzyńskich. Było to w sierpniu; przez kilka następnych wieczorów siedząc na werandzie, słyszeliśmy rozpaczliwe wycie wilcze, zapewne szukającej swoich dzieci matki, która jedna wyszła cało z pogromu.

Zamykanie sieciami kniei nie jest także rzeczą całkiem prostą. Trzeba wytrawnego wilczarza, by wiedział skąd ma zacząć zamykać; musi uważać na wiatr i pod wiatr sieci posuwać. Na Ukrainie sto, dwusto, a nawet więcej morgowe laski zamykają się „kulec z kulcem“ to znaczy w około. Nieraz się zdarzało, że gdy już zbliżały się obie strony ciągnące sieci ku sobie, by zamknąć las, rzucały się już wilki w sieci, w miejscu, skąd zaczęto je rozciągać. Na zamknięcie sieciami większej kniei, składa się kilku sąsiadów jak i również każdy z nich psy swoje do dyspozycyi urządzającego obławę oddaje. Nic bardziej malowniczego, jak widzieć pod zamkniętą sieciami już knieją, kilkanaście wozów napchanych psami czarnożółtymi lub kasztanowatymi o dużych pięknych głowach, krępych tułowiach z szerokiemi piersiami. Ale już przyjechali myśliwi.... Sieci otwierają się tyle tylko, by ich wpuścić do kniei i zamykają się za nimi. Stajemy na przerzynającej w środku lasek linii. Psy puszczają do środka. Dojeżdżacze na koniach szczują i zachęcają je dziwnymi głosami... Wtem odezwie się jeden głos, drugi, trzeci, dziesiąty i dwudziesty, trafiły na ślad, i goni ta cała zgraja z piekielnym hałasem ku myśliwym. Ten na odgłos tej muzyki przestaje być sobą! Cóż są w obec tego najpiękniejsze nasze polowania z naganką, gdzie pada po sto strzałów w jednym miocie!?

Na odgłos zbliżających się do ciebie psów — słyszysz jak ci się serce z piersi wyrywa, ręce ledwie są w stanie utrzymać strzelbę. Nakoniec wpada ci lis lub wilk pod nogi! Strzelasz!... psy rzucają się na trupa lub pędzą za zdrowymi dalej, dzielą się na kilka partyi — każda goni innego zwierza — jedna partya zbliża się do ciebie znowu z przodu, druga tak samo z tyłu! Żałujesz, że nie masz i tam oczu, gdzie ci ich w codziennem życiu najmniej potrzeba — tańczysz i kręcisz się na stanowisku jak blaszana na dachu chorągiewka. Sąsiad twój stoi z kabzlówką (na Ukrainie jeszcze bardzo kabzlówka w modzie) i dubluje do wilka, któremu jednak losy życie i zdrowie na minut kilka jeszcze uratowały. Podczas nabijania wypada na niego drugi wilk, pomyka naturalnie bez strzału. „Im Feuer des Gefechtes“ nie wyciąga on ladsztoku z lufy po przybiciu kłaków na proch i sypie śrut. Teraz ladsztoka żadną siłą z lufy wyciągnąć nie może. Doprowadzony do rozpaczy, przybiega do ciebie i błaga, byś go ratował w tej smutnej sytuacyi. Stawiasz niechętnie strzelbę pod drzewem i ciągniesz za ladsztok, z całej siły, gdy sąsiad trzyma za kolbę. Wszystko to dzieje się w gorączce, bo psy grają ciągle. Wtem wypada z gąszczy wilk ogromny, przebiega między wami, popod nieszczęsną strzelbę! Na ten widok wypuszczacie ją obaj z rąk i wywracacie się do góry nogami a wilk zdrów znika w gęstwinie (autentyczne). Zrywasz się z ziemi klnąc, na czem świat stoi, a twój biedny sąsiad stanowi się na swoje stanowisko wraz ze strzelbą ze sterczącym z lufy ladsztokiem.

Polowanie skończone! Na rozkładzie leżą 4 stare wilki i ośmioro młodych; dwa gniazda przestały istnieć!

Na takich polowaniach rola dojeżdżaczy jest także bardzo ważną i ciężką, szczególnie jak niema nic rosy i psy się już zmęczą. Zachęcają je nawoływaniem i trąbą.

Muszę tu wspomnieć o dzielnym dojeżdżaczu nowochwastowskim, Cyrylu, który jest i zapalonym myśliwym. Skarżył się raz przedemną, że coraz gorzej na świecie! „Źle proszę pana, mówił do mnie, niema już co robić na tym świecie, wilków coraz mniej, to pech mój już rodzinny, że coraz gorzej, mój dziad miał wioskę, mój ojciec już tylko dzierżawę, ja psy karmię, a syn mój to chyba już będzie pasł świnie“.

Jakżeż go mogłem pocieszać, słysząc te czarne wywody!

Trzebaby jeszcze wspomnieć o ukraińskim lisie.

Taki sam on tam, jak i tu „łotr na gruby kamień“. Sądzę, że gdyby naszego mykitę wsadzić do klatki i wypuścić go na drugi dzień w ukraińskim lasku, nie czułby się tam obcym i znalazłby się zaraz jak u siebie w domu. Dużo jest ich na Ukrainie — wywodzą się przeważnie w rudzie tj. mokrej łące, w oczeretach i na pływających spławach stawowych. Poluje się na nie jak na wilki, w jesieni, z gończymi psami wpuszczając je do rudy, którą poprzednio obstawia się myśliwymi. Trzeba dużo psów i wytrwałych, bo lisom nie pilno w pole. Nieraz widziałem, jak lisy rzucały się wpław, a za nimi psy grając goniły! Nakoniec po kilkogodzinnej czasem walce, mykity wyjeżdżają z rudy i nakrywają się kitami od celnych strzałów myśliwych. Oryginalne to i zajmujące polowanie!

Takto polowaliśmy w ojczyźnie kurhanów!

Z Ukrainy powróciłem już dawno, ale i myśli czas wrócić do domowych pieleszy, gdzie czeka ją proza i setki gospodarskich kłopotów! Żegnaj! bądź zdrowa Ukraino! Żegnajcie, ale nie na zawsze, dumne i tęskne stepy! Wam w ofierze niosę tych słów kilka z wdzięczności za doznane wśród was myśliwskie rozkosze! A ty rodzie wilczy! — nie giń, nie daj tak łatwo twoim wrogom za wygrane! Pamiętaj, że nieraz i w nieszczęściu jest szczęście! Nie raz spotkasz może jeszcze na twej drodze, wśród zwątpienia chwili, śpiącego na stanowisku myśliwego (bo i tego byłem świadkiem) lub kolegę ze strzelbą zatkaną ladsztokiem! Przechowuj się długo wśród ukraińskich kniei, dla przyszłej naszej uciechy!

Z LITERATURY ŁOWIECKIEJ.

[Józef Potocki: „Notatki myśliwskie z Afryki, Somali. Ilustrował Piotr Stachiewicz“. Warszawa u Gebethnera i Wolffa. Z drukarni W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie 1897].

Na półkach księgarskich w ostatnich miesiącach roku zeszłego pojawiła się książka, która nietylko zainteresowała cały świat łowiecki i wzbogaciła naszą, niestety dość ubogą literaturę łowiecką o dzieło cenne, ale zwróciła na siebie powszechną uwagę tak treścią wielce zajmującą, jak też sposobem opowiadania swobodnym, a potoczystym, oraz prawdziwie artystyczną szatą zewnętrzną.

Książka ta, to „Notatki myśliwskie z Afryki“, pióra Józefa hr. Potockiego.

Hr. Potocki nie po raz pierwszy próbuje swych sił na polu literatury. Jego notatki z Indyj i Ceylonu dały poznać nietylko dzielnego myśliwego, ale i pisarza wielkich zdolności. Wrażliwość na piękno przyrody, umysł spostrzegawczy, umiejętność opowiadania zajmującego o przygodach przebytych, a wreszcie język i styl bez zarzutu — oto przymioty, które posiada hr. Józef Potocki jako pisarz. Ale ponad tem góruje jedna zaleta, która w tego rodzaju opowiadaniach bardzo ważną odgrywa rolę i szczególnego dodaje im uroku, a mianowicie — prostota. Myśliwi — słusznie, czy niesłusznie — nie mają opinii prawdomowności; zwykle opowiadania myśliwskie, jako takie, budzą w czytelniku pewną nieufność. Podejrzliwość więc o przesadę, jeżeli nie wprost o nieprawdę, nasuwa się często sama przez się.

W książce hr. Potockiego niema tego ani śladu. Treść jej zniewala prostotą, brakiem wszelkich, nawet myśliwskich przechwałek, szczerem przyznawaniem się do każdego niepowodzenia i niezręczności, widocznie wywołanej nadmierną gorączką łowiecką, przytem rycerską kurtoazyą dla towarzyszów podróży. Tryumfy ich zapisywane bywają bez cienia zazdrości, a odbijają tembardziej, że zwykle idą w parze z niepowodzeniem myśliwskiem autora. Hr. Potocki pisze bez pretensyi, tak jakby po doskonałem polowaniu opowiadał towarzyszom przebyte dzieje i wrażenia przy płonącym na kominku ogniu. Nie sadzi się na tak zwaną robotę literacką, ale czuć, że drga w nim jeszcze każdy nerw myśliwski, na samo wspomnienie wrażeń przebytych. I tą prostotą swoją, tą szczerością osiąga rezultat dla autora najpochlebniejszy, ten mianowicie, że czytelnik powoli zatapia się w jego opowiadaniu, że nietylko słucha z natężeniem, ale idzie za nim krok za krokiem że poddaje się jego wrażeniom, a wreszcie odczuwa rzeczywistość.

Czytając te „Notatki“ czytelnik mimo woli czuje, iż autor ich, chcąc dać folgę swemu temperamentowi i instynktowej potrzebie wyładowania energii silnej i żywotnej, którą go natura obdarzyła, puścił się na dalekie wyprawy po niełatwe zdobycze, umiłowawszy trudy i niebezpieczeństwa łowieckich zapasów, w których niepowszednie trofea, jakichby mu niejeden z rozgłośnych Nemrodów mógł pozazdrościć, zaświadczały o nieustraszonej jego odwadze, wytrwałości, zapale i dzielności. Dawniej, odziedziczywszy takie rysy staropolskiej rycerskości, byłby autor z mieczem i buławą w dłoni na czele chorągwi pancernej, wyruszył na boje i potykał się z Turkiem lub Tatarzynem, dziś nie mogąc tego uczynić, wyrusza na uciążliwą podróż do krajów podzwrotnikowych, na podróż pełną przygód i wrażeń, pełną niebezpieczeństw, pełną walk, które łowieckiej ambicyi jego otwierały szeroką dziedzinę do wypróbowania sił i odwagi. Za zbyt pospolite zadowolenie dawało mu, słynącemu z celności strzału, pewnej ręki i bystrego oka, zmiatać setki szaraków, rozbijać stada kuropatw lub uszczutego rozciągnąć lisa, zbudziła się w nim duma wyższa: zapolować na króla pustyni, ubić lwa lub tygrysa, zwalić słonia i dosięgnąć kulą szybką jak wicher antylopę. Wybrał się przeto na dalekie wyprawy łowieckie do Indyj, na Ceylon, a ostatnio do kraju Somalisów i za każdym razem wracał obładowany świetnemi zdobyczami, a pałac w Antoninach zamienił się na oryginalne i jedyne w swoim rodzaju muzeum trofeów myśliwskich, na które szczęśliwy właściciel z dumą, a zwiedzający z podziwem spogląda.

Na ostatniem Walnem zebraniu galic. Towarzystwa łowieckiego uchwalono jednogłośnie prosić autora, aby pozwolił dzieło swe przedrukować w „Łowcu“ i w ten sposób zaznajomić czytelników tego jedynego pisma łowieckiego w Polsce, z niezwykłemi przygodami śmiałego myśliwca. Zanim zezwolenie to nadejdzie i zanim czytelnicy „Łowca“ rozkoszować się będą zajmującym opisem owych łowieckich wypraw na daleki Wschód, my tu podamy w skróceniu treść notatek i zacytujemy niektóre z nich ustępy, aby czytelnikom naszym dać choć słaby obraz przepięknej, barwnej treści „Notatek“.

Myśliwstwo zawsze miało i ma dar pociągania ku sobie ludzi. „Kto raz zaznał czaru — pisze hr. Potocki — wyprawy myśliwskiej do dalekich krajów, w odmiennej strefie i z ciekawą fauną, kto miłuje przyrodę i lubi polowanie — ten zawsze marzy o nowych ekspedycyach“. Zdanie to wypisał hr. Potocki i prawdziwości jego dowiódł na sobie. Żyłka myśliwska pociągnęła go po raz drugi pod skwarne niebo afrykańskie, raz zakosztowawszy przyjemności takiej wyprawy, uległ pokusie po raz drugi i wybrał się do Afryki zachodniej, do kraju Somali. Zachęciła go do wyboru tego nieznanego zakątka książka hr. Hoyosa p. t. *Zu den Aulihan*.

Na początku daje autor krótki opis historyczny i etnograficzny miejscowości. Ciekawe i pouczające są to szczegóły.

„Somalilandem zwą kraj, leżący na wschodniem wybrzeżu Afryki, który od ujścia rzeki Dżuba, zajmując cały tak zwany „róg Afryki“, ciągnie się wzdłuż przylądka Guardufai na północ aż do dzielnic abisyńskich, wewnątrz lądu zaś aż do rzeki Webi Shebeli, która stanowi jego południową naturalną granicę.

„*Regio aromatifera* w języku starożytnych, po arabsku Bar Ajam, czyli „kraj nieznany“, zaludniony przez dzikie hordy barbarzyńskich szczepów koczowniczych, które zagładą groziły śmiałkom, chcącym dotrzeć do jego wnętrza, Somaliland uchodził długo za kraj wręcz niedostępny i niezbadany, i znaczono go białą plamą na karcie ogromu Czarnego Lądu.

„Jednym z pierwszych i jedynym Europejczykiem, który pokusił się w czasach dawniejszych zbadać tajemnicę, osłaniającą od szeregu stuleci ową „białą plamę“, był sir F. Burton. Ruszył on w głąb Afryki w początku drugiej połowy wieku naszego, upamiętnił wrażenia swojej wyprawy w znanem dziele: *Fist Footsteps in East-Africa*“. Było to pierwsze, ale nie ostatnie ogniwo łańcucha, sięgającego z Europy w głąb Somalilandu. Znalazło się kilku in-

nych śmiałych i odważnych podróżników, którzy mimo czyhającego na każdym kroku niebezpieczeństwa, mimo licznych głosów, pełnych zgrozy i trwogi, wstępowali w ślad Burtona; Speke, Hildebrant Menges i Zaccone mieli szczery zamiar poznać kraj Somali, lecz niełatwa to sprawa, więc i oni albo zmuszeni byli powrócić bez żadnego niemal dodatniego rezultatu, albo własnem życiem, jak np. ostatni z tych męczenników nauki, przypłacili nadto awanturnicze swoje zachciaki.

„Taki porządek rzeczy trwał do r. 1884, w którym następują znaczne zmiany w granicach państw afrykańskich. Egipcyanie, zwyciężeni przez fanatyczne hordy Mahdiego, ustępują z Sudanu; obszar ich państwa kurczy się, odpada Chartum, Kordofan i Sudan, miasto portowe Barberę zajmują Anglicy, a wraz z ich panowaniem na wybrzeżu afrykańskiem nastaje tutaj ład i porządek; władza „białych“ rośnie z dniem każdym, horyzont wpływu Europejczyków powiększa się stale“.

Lecz Anglia nie zrobiła wcale interesu na rozszerzeniu swych wpływów wzdłuż krainy Somalisów, istnego pustkowia, stepu na przemian piaszczystego lub porosłego ciernistymi krzakami mimozy i kaktusów. Krajobrazy tu odtworzone z fotografij kredką p. Stachiewicza przechodzą smutkiem najbardziej ponure widnokręgi. Chude jedynie okazy mizernej przyrody i kopce termitów dziwacznymi kształty swymi przecinają równinę, odejmując jej jedyny wdzięk nieskończoności.

Sportsmenów angielskich nie braknie chyba w żadnym świata zakątku, przedstawiającym dla nich większy jakiś interes. Rzecz więc naturalna, że i tutaj stawili się oni niezwłocznie, by w głębi nieznanego kraju szukać awanturniczych przygód, by zarazem szerzyć cywilizacyę europejską wśród dzikich plemion czarnych. Te ostatnie witały z początku białych, nieproszonych gości nader nieprzyjaźnie. Po pewnym czasie zaszła we wzajemnych stosunkach tubylców z przybyszami z za morza pewna zmiana charakterystyczna: nieprzyjaźń zastępuje już tylko nieufność, z czasem widzimy wpływ jeszcze większy, bo zamiast nieufności wyradza się zobojętnienie; wreszcie krajowcy, przekonawszy się, że biali nic im złego nie robią, że przeciwnie przyczyniają się do wzrostu handlu, za produkty miejscowe płacą, siłą i przemocą nic im nie wydzierają, podali dłoń do zgody i z największą ochotą pomagają przybyszom w ich wyprawach na grubego zwierza.

Na tę ostatnią epokę przypadła wycieczka Józefa hr. Potockiego. Wyprzedziło go tu jednak już kilku dzielnych łowców. Lord Delamare ubił tam już 50 lwów, a nawet z właściwą Albionu oryginalnością wystawił sobie domek czy willę na pustyni, w zamiarze częstego do niej powracania i stworzenia sobie rodzaju *home'u* w Somali-landzie. Nie rzadko też i panie wybierają się w towarzystwie małżonków na te dalekie wyprawy. Sam hr. Potocki spotkał z nich jedną, uczestniczącą w groźniejszem nad inne spotkaniu, skoro lew posunął zuchwałaość aż do rzucenia się na straż u wejścia do zeriby, czyli szałasu, zajmowanego przez angielską parę i rozszarpał nieszczęśliwego tubylca niemal w oczach wyspiarzy. Wspomnijmy tu młodego Cavendish'a, którego przed kilkoma miesiącami rozjuszony słoń deptał przez kilkanaście minut, tak jednak szczęśliwie, że gdy go nareszcie wyswobodzono ze strasznego położenia, pokazało się, iż żadnej kości nie miał złamanej, i oprócz znacznej utraty krwi, innego szwanku nie doznał.

Mniej szczęśliwym miał być młody książę, Ruspoli, który na miejscu poniósł śmierć, nie na abisyńskich polach walki, lecz w myśliwskiem spotkaniu z grubą zwierzyną Somali-landu. Tu niedawno zapędził się ks. Orleański, hr. Hoyos, ks. Borys Czetwertyński, uczestnik aż trzech wypraw w roku 1890, 1892 i 1895, a w końcu Anglik kapitan Swayne sporządził nawet rodzaj Baedeckera, dającego każdemu, co się do krainy Somalisów wybrać zamierza, wskazówki pod względem koniecznych przygotowań i zapasów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

STARY DZIK.

Ciąg dalszy.

— A to co? Czy ten także pojedzie z nami?

Młodzieniec lat siedmnastu, najwyżej ośmnastu, w istocie wybierał się także na polowanie. To nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Kręcił się więcej i szumniej, hałaśliwiej od innych, jak zwykle w takich razach kręcą się niedoświadczone podrostki.

Hm... Pan Piotr nie chciałby stać obok niego. Nie chce wcale być postrzelonym, a gdy się poluje z dziećmi, wszystko wydarzyć może.

Pan Piotr sądził, że książę postąpiłby wcale nieźle, gdyby zabrał z sobą na polowanie i dziewczęta z miejskiej pensyi.

— Mówią, że tęgi niedźwiedź — rzekł jeden z siedzących obok niego myśliwych.

— Tak, tęgi niedźwiedź.

Książę zakłopotał się trochę.

— Prawdę mówiąc — zwrócił się do pana Piotra — nie przypuszczałem, że będę cię mógł nim ugościć.

— Tak — odparł pan Piotr, uśmiechając się. — W każdym razie — dodał, uśmiechając się dalej — nie radziłbym Proszkowi natknąć się na mnie, gdy będę w kwaśnym humorze.

Pan Piotr dokończył herbaty... Książę zaczął prosić gości, aby wsiadali do powozów. Czas było jechać.

Zamieszanie doszło do ostatecznych granic. Tłum gości zebrał się na ganku. Książę pojechał naprzód, jako gospodarz i kierownik polowania. Cały sznur sań, jedne za drugiemi, posunął się w kierunku knieci, unosząc z sobą myśliwych.

Panu Piotrowi znudziło się czekanie, ale jak na złość, sanie jego znajdowały się na szarym końcu łańcucha.

Jego wesoły humor i dobre usposobienie silnie się za-

chwiały, zaczął się gniewać na księcia, który nabiera tyle narodu; gniewał się na durnia woźnicę, który wiecznie musiał się znajdować tam, gdzie nie potrzeba; gniewał się na tęgo dyabła Sikorkę, który nigdy o nic się nie postarał.

Nakoniec pojechali wszyscy. Przyszła kolej i na niego.

Para doskonałych siwków, choć starych, podeszła uroczyście przed ganek. Sikorka troskliwie usadził pana Piotra w szerokich saniach, a sam siadł na koźle przy woźnicy.

Konie już miały ruszyć.

W tej samej chwili na progu domu pokazał się młodzieniec. Biedak spóźnił się i wybiegł na ganek zmieszany... Puste podwórze napełniło go zgrozą.

— Zaczekajcie, zaczekajcie — zawołał i zbiegł z ganku.

— Tego jeszcze brakowało! — pomyślał pan Piotr.

Młodzieniec podbiegł do sań, zobaczywszy jednak pana Piotra cofnął się tak lękliwie i tak zakłopotany w tył, że panu Piotrowi zrobiło go się żal.

— Pozwoli pan... tylko kawałek... póki innych nie dogonimy — szeptał chłopiec, plącząc się coraz więcej.

— Siadaj pan, pojedziemy,

Młodzieniec wsiadł ostrożnie do sań i umieścił się na samym brzegu.

— Siadaj pan lepiej... możesz pan wypaść — rzekł pan Piotr, ale głos jego brzmiał tak niezachęcająco, że chłopiec skulił się jeszcze więcej.

Konie ruszyły.

Przygodni towarzysze jechali przez pewien czas w milczeniu. Pan Piotr spoglądał ponuro na drogę, jakby nie uważał wcale na swego nieproszonego towarzysza i nie zaszczycał go ani jednem spojrzeniem. Chłopiec spoglądał na niego z ukosa i widocznie czuł się jakoś w nieswoim sosie.

Trwało to jednak nie długo.

Młodzieniec powoli zebrał myśli i przyszedł do siebie. Zaczął się nawet gniewać na siebie za swoje zakłopotanie... Czyż w samej rzeczy przysługa była tak wielka?... Zresztą nie krępuje go wcale.. A jeżeli się gniewa, tem gorzej dla niego.

W każdym razie nie miał zamiaru dłużej milczeć.

— A wie pan, że to jednak śmieszna rzecz — rzekł nagle z udaną odwagą i widocznie brawurując.

— Co śmieszna? — zapytał sucho pan Piotr.

— A to, że ja i pan jedziemy na jednych saniach.

— Jeżeli ten łobuz chce drwić ze mnie, to go wyrzucę z sań — pomyślał pan Piotr i spojrzał surowo na swego towarzysza.

Prawdę mówiąc, łobuz był jednak dyabelnie przystojny. Młoda, kipiąca zdrowiem twarz, patrzyła śmiało i płonęła czarującą sympatyą. Wielkie, czarne, prześliczne czarne oczy, które przed chwilą tak nieśmiało błądziły dokoła, błyszczały teraz taką miłą, dziecięcą zuchowatością.

Pan Piotr widział gdzieś tę twarz i te wielkie czarne oczy... Tak, widział je gdzieś, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

— Cóż w tem śmiesznego? — zapytał niespodziewanie łagodnym tonem.

O pragnieniu wyrzucenia łobuza z sań widocznie już zapomniał.

Chłopiec zafrasował się. Spodziewał się zupełnie czegoś innego i nie wiedział, co odpowiedzieć.

Pan Piotr patrzył dalej na niego i naprzekór samemu sobie, rozkoszował się jego zakłopotaniem.

Chłopiec zrozumiał to i zbił się z tropu do reszty.

— Widzi pan, ja i pan — szepnął nareszcie — jakoś wcale nie zgadzamy się z sobą.

Pan Piotr pomyślał, że chłopiec ma racyę i mimowoli się uśmiechnął.

Uśmiech ten dodał odwagi młodzieńcowi.

— I wie pan — rzekł znowu — że to zadziwi wszystkich. Prrzyznam się, że i ja sam się dziwię — mówił dalej w napadzie chwilowej, Bóg wie skąd nadeszłej, szczerości — jakim sposobem nabrałem tyle odwagi, że wsiadłem do pańskich sań.

Dziecięca paplanina zajmowała starego. Czarne, młode oczy widocznie go sobie kupiły.

— Czyż jestem taki straszny?

— Pan? — zapytał chłopiec i nagle obrzucił go takiem spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć: — a ty o tem nie wiesz?

Pan Piotr znowu się uśmiechnął.

Chłopiec, który bez wątpienia otrząsnął się już ze swego zakłopotania, zaczął uważnie patrzeć na niego. Gdyby w jego oczach nie było tyle naiwnej ciekawości, przypatrywanie się to byłoby co najmniej niegrzecznem.

— No i cóż? — zapytał pan Piotr, mimowoli tonem żartobliwym.

— Prawdę mówiąc, wyglądasz pan, jak porządny buk, — rzekł chłopiec zupełnie niedbale — ale zawsze jeszcze nie na taki, jakim mi pana opisywano.

— Tak?

Chłopiec spostrzegł się, że powiedział za wiele i znowu się zafrasował.

Kilka minut jechali w milczeniu.

— Trudno, żeby stary nie wyglądał na buka — rzekł pan Piotr jakby w odpowiedzi na swoje własne myśli. — A zresztą czyż niema potrzeby? — dodał jeszcze po chwili.

Chłopiec ożywił się.

— Może być trudno... Ale z tem, że niema potrzeby, nie zgodzę się nigdy.

Pan Piotr spojrzał na niego zdziwiony.

— Tak... Nie zgodzę się z tem nigdy! — odciął się chłopiec ostro.

— Komuż potrzeba, aby starzy nie byli bukami?

— Jak to komu?... Wszystkim i każdemu — zawołał chłopiec.

Panu Piotrowi podobały się te młode, szybkie przejścia z zakłopotania do zapału, z nieśmiałości do zuchowatości, a towarzysz zajmował go coraz więcej.

— A starym będzie lżej, jeżeli nie będą bukami? — zapytał.

— Naturalnie!

— Tak?

— Naturalnie, naturalnie! czyż to wesoło, gdy dokoła kogoś wszyscy schmurzeni i nadęci... czyż to dla kogokolwiek może być przyjemnością?

Chłopiec zawahał się na chwilę, oczywiście nie znajdując bliższego określenia.

— A czyż widzieć dokoła siebie szczęście, nie jest już samo przez się szczęściem? — zakończył zwycięzko.

— Toś ty taki bratku! — pomyślał pan Piotr i znowu spojrzał na niego przenikliwie.

Stanowczo, widział go gdzieś... Tak, znajomą mu była ta twarz, znajome były oczy.

— Tak, widzieć szczęście dokoła siebie, to już szczęście... A stworzyć je dla innych... O, jakaż to błogość być powinna... Żyć dla drugich!

Chłopiec urwał nagle. Aczkolwiek był młody, a może właśnie dlatego, że był młody, przeraził się, że ostatni jego frazes może się wydać śmiesznym.

— To nie tak łatwo — dorzucił pan Piotr, jakby zachęcając go do dalszego mówienia.

— I to nieprawda! — znowu wybuchnął chłopiec. — Po tysiąc razy nieprawda! Oddać się bliźnim, poświęcić się pracy dla dobra społeczeństwa... pracować dla dobra wszystkich... to wcale nie tak trudno! I świadomość, że się przynosi korzyść, to taka wielka nagroda, że okupi wszystko.

Pan Piotr zachwycał się mówiącym, ale nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

Chłopiec zauważył ten uśmiech i rozgniewał się.

— Naturalnie, dla naszych starych to trudna rzecz przyswoić sobie tę prawdę — rzekł.

— Tak?

— Poddaństwo i pańszczyzna nie prowadziły ich do zrozumienia jej.

— Hm... to to tak? — pomyślał pan Piotr i dodał: — Nasza młodzież jest przekonaną, że przyniesie korzyść?

— Tak, przekonaną! — zawołał chłopiec, a wystarczyło jednego spojrzenia na jego rozpaloną twarz, aby nie wątpić, że on przynajmniej jest przekonany.

— Młodzież wierzy w swoje siły?

— Tak, wierzy... Wierzy dlatego, że prawda jest po jej stronie... Życie jest po jej stronie i zwycięży ona stare złe! Tak, zwycięży dlatego, że prawda jest po jej stronie... Sama historya stoi za nią!

— Sama historya? — powtórzył pan Piotr i spojrzał znowu na chłopca.

Ta twarz stanowczo jest mu znaną!

— Tak, sama historya! Spojrz pan na Wschód starożytny.

— Zapnij się pan, bo się zaziębisz.

Chłopiec zapiął się szybko.

— Tak, spojrz pan na starożytny Wschód — ciągnął dalej. — Pocóż on istniał? Poco powstawały te kolosalne państwa i padały pod ręką Rzymu, jak za podmuchem wiatru?... Żyły one tylko dlatego, aby je Rzym pokonał... A dlaczego Rzym je pokonywał i stał się wszechświatową monarchją? Dlatego, aby słowo miłości mogło zagrzmieć z kraju do kraju wszechświata. Dlatego, aby rybacy, którzy pokonali Rzym, razem z nim pokonali cały świat!

— Pan na uniwersytecie, czy jeszcze w gimnazjum? — zapytał pan Piotr zupełnie niespodziewanie.

Chłopiec zarumienił się.

— Jestem studentem... Prawda, dopiero na pierwszym kursie, ale zawsze studentem. W każdym razie, nie w tem rzecz!

— O, naturalnie, naturalnie — rzekł pan Piotr, jakby chcąc się usprawiedliwić, że mu przerwał.

Ale młodzieniec już nie mógł dalej mówić... Pytanie wprawiło go w kłopot, a nić krasomówstwa się przerwała.

— To głupio, zupełnie głupio — powtarzał sobie, ale czuł, że nie może mówić dalej.. Teraz palnąłby z pewnością jakieś głupstwo.

— Zręcznie wypowiedziane słowo może wiele rzeczy uczynić śmiesznemi; ale to nie przeszkodzi prawdzie być prawdą! — wypalił i zamilkł, skonfundowany do reszty.

(C. d. nast.).

KORESPONDENCYE.

Żydaczów w styczniu.

(Kłopoty delegata. — Stan zwierzyny w pow. żydaczowskim. — Polowanie w Cucułowie u JE. prezydenta Tchórznickiego).

Szeroki zakres działania i wielkie obowiązki objęte regulaminem dla delegatów gal. Towarzystwa łowieckiego umieszczonego w nr. 2 „Łowca“ z roku ubiegłego — strachem przejmują każdego nowo mianowanego delegata.

Ze spokojnego obywatela myśliwego, raptem nie wiedząc nic o tem, staje się podwładnym — ma nad sobą władzę przełożoną, której słuchać musi, bacząc pilnie czy wypełnia obowiązki na niego nałożone — a jeżeli już zalega ze sprawozdaniami, do czego w szczególności jest obowiązany, to sumienie go gryzie, po nocach spać spokojnie nie może.

Zamianowany takim delegatem na tutejszy powiat przeszedłem właśnie całą skalę tych uczuć, a nie mogąc już dłużej opierać się wyrzutom sumienia, zasiadam, by choć kilka słów przesłać, które może zechce Szanowna Redakcya przyjąć jako tymczasowe sprawozdanie łowieckie z powiatu żydaczowskiego.

Nie chciałbym rozpocząć sprawozdania mego od stałego i utartego szablonu utyskiwania na brak zwierzyny, brak ludzi, którzyby się szczerze zajmowali gospodarką łowiecką, skargami na rozwielmożnienie się kłusownictwa etc. etc., jednakże od tego zacząć muszę, a mianowicie od tego, że zwierzyny u nas stosunkowo do sprzyjających warunków, w jakich się nasz powiat znajduje — mało. — Brak w szczególności zajęcy daje się mocno odczuwać. Najważniejszym powodem tego braku, zdaniem mojem, jest wielka obfitość lisów. Łozy nadbrzeżne Dniestru, Stryja i Świcy to rozpłodniki lisie. Tam się wywodzą te rabusie i wrogi zajęczego rodu. Nietępione systematycznie, włóczą się po całej okolicy, wyrządzając olbrzymie szkody w rozmnoży zajęcy.

Stan sarn mógłby być również o wiele świetniejszy, gdyby tak wszyscy właściciele większych posiadłości wspólnie wojnę lisom wypowiedzieli. — Niestety jednak, prócz kilku może prawdziwych myśliwych i miłośników zwierzyny nikt tępieniem lisa na seryo się nie zajmuje — a szkoda, bo możnaby dojść w tych warunkach do bardzo dobrych rezultatów — zwłaszcza, że kłusownictwo u nas, w porównaniu, rozumie się, z innymi powiatami, a znam te stosunki dość dobrze, nie jest rozwinięte wcale, a więc i ten ważny czynnik w rozmnoży zwierzyny nie potrzebuje zniechęcać nikogo.

Po ukończeniu sezonu myśliwskiego prześlę*) Szanownej Redakcyi pozbierane daty odbytych polowań i ich wyniki, o ile dostarczą mi ich właściciele większych obszarów, do których w tym względzie z odpowiednią prośbą się zwrócę.

Sądzę, że w ten sposób dam najlepszy obraz zwierzostanu w tutejszym powiecie.

Na tem miejscu mogę jeszcze przesłać Szanownej Redakcyi sprawozdanie o odbytem dwudniowem polowaniu

*) Bardzo prosimy. Przyp. Red.

w Cucułowcach, majątku JE. Aleksandra Tchórznickiego w dniach 4. i 5. stycznia br.

W kniejach, gdzie dawniej zaledwie kilka sztuk ubijano — padło: 1 dzik, 14 rogaczy, 2 lisy i 40 zajęcy. Rezultat zatem świetny. Zasługę przypisać można właścicielowi, który racyonalną gospodarkę łowiecką prowadzi, polując raz tylko do roku — żywiąc zwierzynę w zimie, a przedewszystkiem użyczając jej błogiego spokoju. To też może i sam i swoich gości prawdziwą myśliwską ucztą uraczyć. Nie tylko wzorowy porządek i ład na polowaniu, nie tylko świetny jak na tutejsze stosunki zwierzostan w kniei, ale humor i prawdziwie gościnne, serdeczne i naturalne podejmowanie przez obojga gospodarstwa drużyny myśliwskiej, przyczyniło się do niesłychanie mile spędzonego czasu. — Pani domu osobiście brała udział jako widz w polowaniu i nie mało dodawała uroku łowom swoim tak naturalnym, a tak szczerym humorem, wprawiając nas w podziw, iż bez najmniejszego zmęczenia dwa dni z rzędu dotrzymywała nam towarzystwa.

Drugiego dnia spotkaliśmy się w pierwszym miocie z dzikami, których całkiem się nie spodziewano, było 5 sztuk, z których tylko jedna sztuka, spory wycinek, padł od celnego strzału p. A. S. Dwie inne jeszcze sztuki postrzelone przeszły do sąsiednich rewirów.

Zygmunt Rudnicki.

Głogoczów p. Mogilany 11. lutego.

(Nadzieja na przyszłość. — Stan zwierzyny. — Szkodniki i kłusownicy — Jesienny ciąg słonek. — Rozmnoża bażantów.)

W naszym powiecie życie łowieckie zaczyna się korzystnie kształtować od niedawnego czasu; postępy są widoczne, pomimo nader trudnych warunków.

Życie to podtrzymują oprócz podpisanego, brat jego Stanisław Konopka w Mogilanach, Kazimierz Bzowski w Drogini, Adam Fink w Komornikach, Zdzisław Brzeziński w Osieczanach. — Ogólny obszar naszych polowań wynosi kilkanaście tysięcy morgów, niestety tereny te są przerwane i stąd trudność wielka w walce z tymi, co sąsiadując z nami zasadzają całe łowiectwo na wybiciu zupełnem wszelkiej zwierzyny, która na ich teren przejdzie.

Wielką trudność w podniesieniu zwierzostanu stanowi także nader gęste zaludnienie, a domy tu są rozrzucone po wszystkich gruntach. W każdym domu pies i kot w wolnych chwilach od innych rozrywek bawi się polowaniem na młode zające i kuropatwy.

Nadto mamy do czynienia z najgorszym rodzajem kłusowników, bo z tymi, którzy łapią zające i sarny na druty, a na kuropatwy zastawiają sidła z włosia. Tego już roku na polowaniu w Gaiku znalazła naganka młodą sarnę uduszoną w drucie.

Ostatnie 2 lata nadzwyczaj mokre także bardzo niekorzystnie wpłynęły na zwiększenie się zwierzostanu.... Znajdowaliśmy dużo zajęcy nieżywych, oraz sarn, które zginęły na motylicę. W moim lesie uległa temu losowi sarna, która odchowała 3 młode; znalazł ją leśny nad strumieniem tam, gdzie zawsze pić chodziła. — Dziwna rzecz, że cała trójka młodych bardzo wczas osierocona, wychowała się dobrze.

Stan kuropatw jest lepszy, a przy łagodnej zimie nadzieje na jesień są wprost świetne.

W trudnych naszych warunkach bronimy się jak możemy. Obrona ta zaś zasadza się na prześladowaniu kłusowników, tępieniu psów, kotów, lisów, srok, wron i jastrzębi. Lisy musimy truć, bo innej rady nie ma, nasz lis górski, to prawdziwy „Reineke“ i na zwykłem polowaniu, to rzadkość, jeśli wyjdzie na myśliwego. Osobne na lisy polowania są kosztowne, a nadto przyczyniają się do niepokojenia zwierzyny.

Wszyscy wyżej wspomniani myśliwi, karmią w zimie zwierzynę. Mamy osobno urządzone szopki dla sarn i tryzuby dla zajęcy, gdzie się zakłada najlepszą koniczynę i grochowiankę z grochu na zielono koszonego. Przytem lizawki ze soli dla sarn, a dla kuropatw po polach budki, które świetne dają rezultaty.

Polowania odbywają się w jednym terenie raz do roku; czasem w niektórych terenach nawet 2 lata pauzujemy. Stan sarn wogóle stale się podnosi.

Dzięki tej ochronie zwierzyny, polowania do niedawna zaniedbane, dzisiaj zdumiewające dają rezultaty jak n. p. w Drogini u p. Kazimierza Bzowskiego, który w bardzo krótkim przeciągu czasu doprowadził do tego, że las roi się od sarn i zajęcy.

Na słonki polujemy z naganką.

Pierwszych tej jesieni kwatermacherów widzieliśmy d. 7. września. Ciąg był nieliczny i przewlekły. Najwięcej zabiliśmy jednego dnia (6. listopada 1897) w 3 strzelby 8 sztuk w Falkowicach koło Gdowa — ziemia wtedy była już zmarznięta. Szły doskonale — strzałów daliśmy 12.

Rozpoczynamy także z bażantami na dziko bez bażantarni. Pierwsza próba udała się dobrze w Krzywaczce, bo bażancice przezimowały doskonale, miały młode i mogliśmy odstrzelić 6 kogutów. W tym roku druga próba będzie w Mogilanach, gdzie brat mój wypuścił kilkanaście kur z 3-ma kogutami. Kilka trzyma się w ogrodzie koło domu — reszta poszła do tak zwanej „Dębiny“ (lasek niskopienny 30 morgowy, trochę świerków) lecz jest widywana przez służbę leśną i przychodzi do budki z pożywieniem. W tym 30 morgowym lasku padło podczas polowania 30 zajęcy! drugie tyle poszło.

Na dziki polowanie mamy tylko w Gaiku p. Turnaua (dzierżawca polow. p. K. Bzowski); w przeszłym roku zabiliśmy 10 dzików. — W tym roku brak ponowy uniemożliwił polowanie, dopiero jutro korzystając z niej mamy polować. Więc czas przysposobić ładunki, a kończyć pisanie. Oby Mikołaj tropiciel dobre przyniósł wieści.

Stefan Konopka.

Lwów w lutym.

(Przegląd łowiecki 1897/98).

Wracając myślą do jesiennego ciągu naszych najmilszych długodziobów, zaznaczyć muszę, że ciąg słonek w ubiegłej jesieni był nadzwyczaj wczesny. Już przed 15-tym września sygnalizowano mi pojawienie się słonek w Połtwi (w powiecie przemyślańskim) a w kilka dni później ubiłem tam pierwszą słonkę. O lisach już donosiłem, obecnie więc piszę tylko o zwierzynie pożytecznej.

Wszyscy myśliwi w całym kraju odczuli w ciągu ubiegłego sezonu aż nadto dotkliwie znaczny ubytek zajęcy. O przyczynach tego ubytku wiele już pisano, więc też nad tem rozwodzić się nie będę, wspomnę tylko, że cieszyć się nam wypada, iż tegoroczna bezśnieżna zima, która dopiero pod koniec stycznia na miano zimy zasłużyła, nie dała sposobności do znacznego przetrzebienia szczupłego zastępu biednych szaraków, więc lepsza nadzieja na przyszłość.

Polując w różnych stronach kraju, tylko w kniejach klucza miżynieckiego własności ks. Maryi Lubomirskiej zna-

lazłem piękny, a w Żurawicy zadowalający stan zajęcy. Natomiast stan sarn wszędzie dobry; na Pokuciu, którego knieje najlepiej mi są znane, z każdym rokiem piękniejszy. W Kamionkach wielkich na trzech polowaniach: 9. grudnia 25. stycznia i z początkiem lutego, padło 51 rogaczy.

Dziki w tym roku w wielu bardzo pięknych naddniestrzańskich kniejach nie dopisały, pojawiły się natomiast w znacznej ilości w kołomyjskiem, jak w Korszowie i okolicy. Dnia 15. stycznia na polowaniu w Korszowie w każdym miocie widziano dziki, ale z powodu bardzo małej liczby myśliwych, wyszły prawie cało. Na tem polowaniu brat mój ubił śrutem Nr. 4 piękną samurę, która po wypątroszeniu ważyła 160 klgr. Strzelona z broni Nowotnego na 30 kroków rulowała w ogniu.

Leopold Łysakowski.

Cieszacinek p. Zarzecze 21. stycznia.

Zima tegoroczna jest fatalną dla myśliwego, bo śniegu nie ma, najczęściej deszcz, wiatr i mgła.

Z tego też powodu nie mamy prawie żadnych polowań, i przepędzamy zimę w niebardzo dobrym humorze. — W grudniu r. z. było polowanie w Siennowie, własności p. Zdzisława Wolskiego. Czas był okropny, bo wicher dął, a dla rozmaitości pokrapiał deszczyk. Z zaproszonych myśliwych zjechało się nas zaledwie 4-ech i z tych po śniadaniu jeden uciekł do domu, drugi po drugim kociołku także uciekł, zostało nas 3-ch razem z gospodarzem i na upartego polowaliśmy do wieczora. Zajęcy było bardzo wiele, ale nie miał kto strzelać i prawie wszystkie wynosiły się na flankę przy drukerach. Nadto jeden z pozostałych myśliwych, wstępujący właściwie dopiero do naszego bractwa, nie uczynił krzywdy pomykającym szarakom. Zziębnięci do szpiku, naliczyliśmy na rozkładzie 17 zajęcy i rogacza. Humory też mieliśmy wyborne, bo wydarzały się epizody bardzo śmieszne, o których tu zamilczę, a nadto „kajenna“, gwar zgromadzonych na wieczór i gościnność państwa Wolskich, kazały zapomnieć o przebytych trudach. Tyle na dziś.

St. Zalasiński.

Dubienko w styczniu.

(Z podolskich polowań.)

Dnia 11. i 12. stycznia br. odbyło się piękne polowanie w kniejach p. Boguckiego w Zaleszczykach małych. i Pauszówce. Sprawozdania z tego polowania byłyby bardzo krótkie. Zabito 120 zajęcy, 11 kozłów, 7 lisów, strzelano bardzo dużo, w ostatnich trzech miotach nie strzelano już zupełnie do zajęcy, ponieważ gospodarz prosił, żeby nie zabijać więcej, bo nie wie co z zającami zrobić. Tem, wiele razy kto chybił, a wiele trafił, lub w jakim kto z myśliwych był stroju, także nie mam zamiaru zajmować czytelników „Łowca“. Znana rzecz, że „człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi“. Zresztą może w zamilczeniu tej kwestyi jest spora doza egoizmu, bo w spisie chybionych strzałów piszący te słowa zająłby wysokie stanowisko.

Chcę dotknąć innej sprawy, która bardzo gorąco zajmuje ogół naszych myśliwych A mianowicie zaznaczyć, że dzięki staraniom naszego kochanego gospodarza, stan zwierzyny w powyżej wymienionych kniejach wzrósł tak niezwykle, że każdy myśliwy musi sobie zadać mimowolnie pytanie — jak p. Bogucki to zrobić potrafił?

Onego czasu knieje zaleszczyckie i pauszowieckie słynęły z tego, że trafiły się w nich czasem dziki, bywało trochę sarn, ale bardzo mało, a o zającach mówiono. „że się w tym lesie chować nie chcą“; lisów za to bywało najwięcej. Trzy lata wstecz, to jest w rok po śmierci śp. Mikołaja hr. Wolańskiego i po objęciu tych lasów przez obecnych właścicieli, na pierwszem polowaniu padło dwadzieścia zajęcy i kilka kozłów. W roku przeszłym padło sześćdziesiąt zajęcy i pięć kozłów, lisów jeszcze zabito kilkanaście. W tym roku ilość lisów zmniejszyła się do skromnej liczby siedmiu (nb. prawie wszystkie z widzianych zostały zabite), a liczba zajęcy zdwoiła się, a mogła się potroić. Dzików sztuk kilkanaście było w lesie, jeszcze na parę dni przed polowaniem, ale widocznie ktoś im musiał nasz przyjazd zapowiedzieć, bo wszystkie się z kniei wyniosły.

Wróćmy jednak do zasadniczej kwestyi.

Jak p. Bogucki potrafił w tak krótkim czasie doprowadzić zwierzostan do tak świetnego stanu?

Odpowiedź będzie dość krótka.

Po pierwsze ma doskonałego i uczciwego leśniczego p. Dygdalewicza, który żywi się kupowanem mięsem, a nie pańskimi kozłami i zającami. Następnie sam gospodarz nie należy do owych egoistów-myśliwych i woli, żeby jego przyjaciele raz do roku doświadczali rozkoszy myśliwskich, zamiast, żeby on sam przez cały rok boży urządzał sobie małe polowańka.

Przy tej sposobności muszę scharakteryzować ten dość jeszcze niestety u nas liczny typ myśliwych-egoistów. Hrabia Aleksander Potocki nazywa ich całkiem słusznie „kłusownikami na własnym gruncie“. Główną cechą takiego „egoisty“ jest, że strzela cały rok w każdym sezonie. Na wiosnę poluje co dnia na słonki z obławą, jeżeli wyjdzie mu rogacz na strzał to go palnie, choć to czas ochrony. — Po żniwach zaczyna polować na przepiórki i kuropatwy z psem, jak pomknie szarak, to nie wytrzyma i strzeli; tłumaczy się później sam przed sobą, że on by był na zimę poszedł do cudzego lasu, więc zimowy zwierzostan jego własnej kniei nic na tej śmierci zajęczej nie straci. Całe lato, jesień i zimę nie daje spokoju zwierzynie, bo każe gonić mityczne dziki które jakoby miały gdzieś w jego rewirach zalegać. Skutek tych dziczych polowań taki, że dzika najczęściej nie ma, ale za to „przy sposobności“ zabije on kilka zajęcy i koziołka. Ostatecznie, gdy taki egoista zdecyduje się zaprosić swych przyjaciół na polowanie, to namarzną się należycie na stanowiskach, muszą wysłuchać długiego tłumaczenia, że „zając dziś w polu, a sarny wyszły z miotu, zanim zaszła obława“. Jedyną pociechą takiego polowania wystawny obiad i wist — jeżeli komu to smakuje.

P. Bogucki przekonał nas wszystkich dowodnie, że jeżeli się zwierzynę karmi, pilnuje i nie płoszy, to pomimo, że w dwóch sąsiednich rewirach strzelają, co się nawinie pod lufę i to strzelają cały rok, pomimo, że jeden z sąsiadów. którego pola przytykają do lasu p. Boguckiego, każe stajennym ludziom szczuć chartami zające całą jesień — pomimo tego wszystkiego zwierzyna jeszcze będzie.

Nie miłe na nas zrobiło wrażenie, że w jednym z miotów, który leży na granicy dóbr, straż leśna jednego z majątków sąsiednich czatowała na granicy i chwytała każdą postrzeloną sztukę. Wprawdzie właścicielka tej majętności mieszka przez zimę we Lwowie i myślistwem się zgoła nie zajmuje, ale dla przyzwoitości powinnaby nakazać swej służbie żeby taka scena nie powtórzyła się, po raz drugi.

Śliczna pogoda przy małym przymrozku sprzyjała nam stale... a serdeczna gościnność gospodarstwa dodana do

prześlicznego polowania, sprawiły, że każdy z nas wyniósł z tego polowania najmilsze wspomnienie.

W imieniu wszystkich uczestników składamy naszym kochanym gospodarstwu serdeczne podziękowanie.

K. S. A.—z.

Perehińsko w lutym.

Dnia 21. stycznia br. tutejsi dozorcy wytropili w rewirze Kotelec, że cztery rysie powaliły dwuletnią jelenicę. Resztki tej jelenicy zatruto — rysie pierwszych dni nie przychodziły do swej ofiary, aż dopiero dnia 27. br. dozorca łowiectwa obchodząc zatrutą padlinę, spostrzegł, że nie daleko od zatrutej jelenicy w śniegu zakopana była rysica stara wcale nieuszkodzona.

Dnia następnego zaś znalazł jednego rysia zatrutego do pół pożartego z wnętrznościami, a obok tego, drugiego prawie całkiem zeżartego, gdyż z niego oprócz głowy ze szyją i dwóch przednich łap, nic nie pozostało, a pozostałe resztki z tych dwóch rysi były również w śniegu zakopane.

Dnia następnego przychodził czwarty jeszcze przy życiu pozostały ryś stary do miejsca katastrofy śladem dozorcy, obchodził blisko padłych ofiar i jak tropy wskazywały siedział na pniaku, z którego mógł widzieć miejsce, gdzie leżały obydwa rysie zażarte.

Przypuszczam, że pozostały przy życiu stary ryś pożarł dwa młode, gdyż pięć dni później przychodził w to samo miejsce i zeżarł pozostałą szyję i przednie łapki.

Przed dwunastu laty została zatruta stara wilczyca powyż Osmołody podczas cieczki — dwa wilki rozszarpały i zeżarły ją całkiem, a że z powodu łagodnej zimy tego roku już przy końcu stycznia br. rozpoczęły się zaloty u rysi, więc to samo stało się, jak z wilczycą.

Hołubowski.

Berezowica w lutym 1898

(Przed laty 30 — a dziś. — Polowanie w Horodnicy.)

Wśród wzgórzów i jarów i dolin i lasów.

. . . .

Pasmo dość stromych wzgórz podolskich ciągnie się od Skałatu ku Zbruczowi i po nad tą rzeką, aż do Postołówki, Horodnicy i Liczkowiec; tu przedzielone Zbruczem, przechodzi do zabranych prowincyj na Podole rosyjskie.

To tak zwane „Miodobory“; słodko tu i dostatnio musiało być niegdyś. Okolica prześliczna, istna podolska mała Szwajcarya. Wzgórza strome, stożkowate, robią z daleka wrażenie formacyi wulkanicznych, śladów jednak takiego pochodzenia nie ma. Skały po grzbietach i urwiskach, to piaskowce, tworzą miejscami, jakby zamczyska. Wśród tych borów dawniej były uroczyska pogańskie, a na dowód tej tradycyi znaleziono przed laty w namuliskach Zbrucza pogańskie bożyszcze „Światowida.“

W kniejach tych przed 30 laty, młody jeszcze, polowałem z gończymi psami. Miłe, niepowrotne wspomnienia! Dziś są tam i dziki i sarny, łowiec zaspokaja pasyę myśliwską ilością zwierzyny, podniesionej starannem pielęgnowaniem, ale urok dawnych łowów znikł niepowrotnie. Bywały tu tylko szaraki i lisy, sarna była rzadkiem zjawiskiem, kilka lub kilkanaście sztuk zwierzyny padało przed psami dziennie; muzyki jednak łowieckiej, grania ogarów i echa tych głosów nie zastąpi dzisiejsza ilość zwierzyny. Otoż tego roku korzystając z łaskawego zaproszenia właścicieli Horodnicy pp. Stanisława Jabłonowskiego i Mieczysława Brykczyńskiego polowałem tam dwa dni 28. i 29. stycznia w czasie najnieprzyjaźniejszym dla łowów. W 11 strzelb zabito 1 dzika, 12 rogaczy, 8 lisów i 98 zajęcy.

Śliczna ta knieja w porze przyjaźniejszej dla łowów, dałaby była znacznie lepszy rezultat Masa sarn znajduje tu spokojne pielesze. Szaraki przeważnie, jak zwykle w czasie odwilży, wyszły w pole, a dzików kilkanaście nie można było otropić skutecznie. — Miłe są wspomnienia z niepowrotnej przeszłości wśród tych uroczych borów, więcej byłem zajęty temi wspomnieniami, jak teraźniejszością i niejeden szarak, dzięki tym reminiscencyom, uszedł z nietkniętą turzycą.

Szczęśliwy kto może w szarej dobie życia,
Wywołać z przeszłości chwil miłych wspomnienia,
Kto z piersi ztęsknionej myśliwych współbraci,
Za ucztę łowiecką bierze dziękczynienia.

Mieczysław Konopacki.

SPRAWOZDANIA DELEGATÓW.

Majątek Janczyn (Dąbrowa i Kliszczówna) 700 morgów, właściciel p. Edmund Sander, myśliwy. W Dąbrowie zając liczny, lis dosyć częsty, czasami pojawia się dzik, sarn mało. W Kliszczównej jarząbek pojawia się bardzo często, zajęcy mało, lis dość częsty, sarn dużo; dzik zjawi się czasem. Właściciel dokłada wszelkich starań, aby podnieść stan zwierzyny. W obu rewirach polowania odbywają się dwa razy do roku, raz w jesieni, raz w zimie.

Majątek Ostałowice, 1000 morgów, dzierżawca p. Włodzimierz Padlewski, myśliwy. Stan zwierzyny nieświetny. Są zające, lisy, sarny, czasami się pojawia i dzik, ale wszystko to w dawkach homeopatycznych. Polowania odbywają się 3—4 razy w roku.

Majątek Meryszczów, 300 morgów, właściciel p. Stanisław Kędzierski, myśliwy. Kniejka prawie zupełnie pusta, zwierzyna wypłoszona i wybita przez kłusownika patentowanego, bo będącego zaprzysiężonym leśnym.

Majątek Dusanów 1000 morgów, właściciel pan Zdzisław Obertyński, myśliwy. W rewirach przeważnie sarna i dzik. Jest także jarząbek. Właściciel starannie chodzi około zwierzyny i dba o powiększenie jej stanu. Polowania odbywają się dwa razy do roku; raz w jesieni, raz w zimie.

Majątek Kimirz, 800 morgów, właściciel p. Roman Wybranowski, myśliwy. W rewirach zając, lis i sarna. Staranność właściciela około zwierzyny bardzo dobra. Polowania dwa razy w roku: w jesieni i w zimie.

Majątek Uszkowce, 800 morgów, właściciel p. Roman Wybranowski. Ponieważ właściciel sam nie jest myśliwym polowania odbywają się bardzo rzadko. Zajęcy mało, są lisy i sarny.

Majątek Czupernosów, 600 morgów, właściciel p. Aleksander Wybranowski. Właściciel myśliwym nie jest, W rewirach ładny stan sarn. Polowanie 1—2 razy w roku.

Majątki Krościenko (1500 m.), Wypyski (1200

m.) Ciemierzyńce (2000 m.), właściciel hr. Roman Potocki, myśliwy. Knieje w Krościenku i Wypyskach przeważnie sarnie. W Ciemierzyńcach jest zając, lis, sarny, dziki. We wszystkich trzech majątkach stan zwierzyny bardzo dobry, a staranność właściciela znakomita. Polowania odbywają się raz w roku, a czasem raz na 2 lata.

Majątek Łahodów, 600 morgów, właściciel Aleksander Zaleski, niemyśliwy. W lasach pustynia. Kłusownicy wybijają wszystko. Jeżeli jest kiedy polowanie pada co najwięcej 1 zając.

Władysław Czerkawski.

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

Na polowaniu w Kociubińcykach u p. Wł. Boguckiego zabito 4 rogacze i około 60 zajęcy.

* * *

W Grybowie, w majątku p. Henryka Dolańskiego, odbyło się polowanie dnia 28. grudnia r. z. i ubito 16 rogaczy, 25 zajęcy i 3 lisy, razem 44 sztuk; padło 81 strzałów. Na wzmiankę zasługuje, że w pierwszym miocie padło 5 strzałów, którymi ubito 5 rogaczy.

W Radłowie, majątku również p. Dolańskiego, polowano dnia 7. i 8. stycznia br. w rewirze Biadoliny i ubito 18 rogaczy, 32 zajęcy, 4 lisy. Strzałów padło bardzo dużo, tak że cyfry nawet wstydzę się napisać. Pogoda była haniebna, może więc dla tego tyle pudeł.

Karol Scherautz.

Na czterodniowem polowaniu u hr. Władysława Baworowskiego w dobrach Germakówka. 19., 20., 21. i 22. stycznia b. r. w 13. strzelb zabito 12 dzików, 21 rogaczy, 415 zajęcy, i 8 lisów, Nie świetny to rezultat — (szczególnie co do zajęcy) na tak sławne knieje i staranność o podniesienie stanu zwierzyny. Zważyć jednak należy, że pora była dla łowów fatalna, odwilż, deszcz, brak śniegu, to wszystko wypędziło szaraki z kniei i polne mioty dałyby były lepszy rezultat. *M. K.*

W Klimkówce pod Rymanowem padło w 1897 roku 35 zajęcy, 2 lisy, rogacz, 3 psy, 4 koty — 1 wydra, 1 kuna, 3 tchórze. *St. Ostaszewski.*

W Toporowie odbyło się w dniach 23. 24., 25. i 26. lutego polowanie, w 10 strzelb i można powiedzieć, że się nie udało, bo trzy lata temu padło 62 dzików, a w tym roku 24 — 7 lisów, 10 rogaczy i 36 danieli Zajęcy w niektórych miotach, było bardzo dużo, naturalnie nie strzelano ich, a mogło do stu paść w jednym miocie bez przesady! Polując z naganką nigdy nie można powiedzieć, jaki stan sarn, bo to bez kwestyi najrozumniejsze zwierzę i zawsze idzie tam, gdzie nie ma strzelców. W Kontach u pana Gniewosza, leśniczowie rachowali, że padnie 50 rogaczy, a zabito tylko 14. W trzy dni mniej więcej, tak wszędzie. Zima przeszła bez śniegu, zwierzyna podanej karmy nie ruszyła — zające i kuropatwy dobrze się przechowały. W naszej okolicy stan zajęcy był średni i to na pewno nie można powiedzieć, bo pola odkryte, a wtedy zając w polu, jednakże, gdzie ochraniają zwierzynę, to i polowania udały się jak u pana Ujejskiego w Sewerynce u pani Hubickiej w Ożydowie, byłoby zawsze w jednym dniu do 60 sztuk padało. A jeszcze gdzie lepiej, żeby nie źli sąsiedzi, którzy cały rok na kuchnię każą polować! to są najgorsze mole, bo powoli a ciągle gryzą. To też od złego sąsiada, zachowaj nas panie! — Polowania przeszły, spotkania nie miałem, ale zawsze jeszcze nadzieja (ta matka głupich) została, to chcę się odbić na toku cietrzewi i ogromne robię projekta, żeby dużo, dużo polować. A trzeba się śpieszyć, bo czasu mało i starość nie radość, i nie wiem, czy na tamtym świecie będzie Toporów i cietrzewie.

Co tam padło, wam podałem,
I co padnie, to wam powiem
Szczerą prawdę, a Bóg miły
Tylko niech obdarzy zdrowiem.

Delegat brodzki.
Marceli hr. Tyszkiewicz.

Z Królestwa.

W Chocimku u p. Jana Zaborowskiego odbyło się d. 13. stycznia polowanie w 14 strzelb. Pomimo słoty padło w jednym dniu 311 zajęcy, 20 kuropatw, 4 kozły, 2 cietrzewie. Kozły strzelano tylko w 3 miotach. Mogło ich paść 15, gdyby do nich strzelano dalej. Królem był p. W. W. który na sztrece miał 45 zajęcy i 3 kozły. Tego roku w gub. kaliskiej, gdzie zwykle są dobre polowania, padało zaledwo $^1/_2$, najwyżej $^2/_3$ tego, co innych lat. Jeden Chocimek utrzymał zwykłą palmę pierwszeństwa.

Dnia 12. i 13. stycznia w dobrach p. Adama Grabskiego Luszynie, w pow. gostyńskim gub. warszawskiej, odbyło się polowanie, na którem ubito 325 zajęcy, 20 kuropatw i lisa. Królami łowów byli pp. Tadeusz i Jan Krzymuscy, którzy zastrzelili po 40 sztuk zwierzyny.

Dnia 17., 18. i 19. stycznia odbyło się doroczne polowanie w lasach Maciejowickich Andrzeja hr. Zamoyskiego. W trzy dni i w 12 strzelb ubito 819 zajęcy, 16 rogaczy, 4 dziki, 19 kuropatw, 3 cietrzewie. Królem polowania był Tomasz hr. Zamoyski z Jabłonia.

Dnia 26. stycznia odbyło się w majątku Smardzewo polowanie u p. Józefa Morawskiego, na którem bito w 10 strzelb 9) zajęcy, 18 kuropatw.

W majątku Mierzyn, w gubernii piotrkowskiej, odbyło się w dniu 24. stycznia polowanie, na którem w trzy strzelby zabito 184 zajęcy i 2 kuropatwy. Królem łowów z 92-ma sztukami zabitemi był p. Stefan Bronikowski ze Szczypiórna.

W dniu 25. stycznia na dorocznem polowaniu w lasach dóbr Kobiele Wielkie p. Kazimierza Tymowskiego w 18 strzelb ubito: 402 zajęcy, lisa, cietrzewia i 8 kuropatw. Do sarn nie strzelano. Królem polowania był p. Andrzej Biesiekierski, który zabił 52 zajęcy i 2 kuropatwy.

W dniach 19 i 20. stycznia w dobrach Łazy w powiecie sochaczewskim u pani Ludwiki Krukowskiej odbyło się polowanie. We dwanaście strzelb ubito: 237 zajęcy, 17 kuropatw, 6 jastrzębi, 2 kozły i 5 lisów. Najwięcej celnych strzałów dał p. Stefan Borzewski.

Z Poznańskiego.

U hr. St. Ponińskich we Wrześni ubito w dniu 10., 11. i 12. stycznia 1.010 zajęcy, 484 bażantów, 1 lisa, 1 królika i 2 jastrzębie. Zważywszy, że w listopadzie ubito tamże blisko 600 zajęcy, że czas był słotny i że rok ten był dla zajęcy niepomyślny, rezultat ten świadczy o świetnym stanie zwierzyny w Księstwie Poznańskiem.



Sprawy Towarzystwa.

Na rachunek wkładek, prenumeraty, wstępnego, względnie jako należytość za odznaki etc. wpłacili następujący członkowie względnie prenumeratorowie, podane niżej kwoty — których odbiór Towarzystwo w ten sposób poświadcza:

Zapłacili w miesiącu grudniu 1897 prenumeratę na rok 1898:

	zł.		zł.
1 ks. Andrzejowski	5·—	20. Kownacki Antoni	5·—
2. Artwiński Miecz.	5·—	21. Kownacki Tadeusz	5·05
3. Barański Tadeusz	5·—	22. Lekczyński Czesław	5 —
4. Biesiadecki Dr. Jan	5·—	23. Maniewski Maryan	5·—
5. Brykczyński Józef	5·—	24. Męciński Hr. Adam	5.—
6. Charlewski Wiktor	2·50	25. Niedzielski Dr. Stan.	5·—
7. Cieński Bogusław	5·—	26. Olszewski Adam	5·—
8. Czaykowski Jan	5·—	27. Ostrzechowski Jan	5·—
9. Dolański Henryk	5·—	28. Potocki Hr. Andrzej	5·10
10. Drohojowski Hr. Zyg.	5·—	29. Potworowski Seweryn	5·—
11. Gorayski August	5·—	30. Rehman i Henrich	5·—
12. Götz-Okocimski Jan	5·—	31. Stanek Franciszek	5·—
13. Grocholski Roman	5·—	32. Stojowski Jor. Miecz.	5·20
14. Jasieński Bolesław	5·—	33. Romer Hr. Zygmunt	5·—
15. Kasyno w Sanoku	1·25	34. Sozański Feliks	5·—
16. Kasyno w Tarnowie	2·50	35. Stojowski Jor. August	5·—
17. Kasyno w Tłumaczu	2·50	36. Weissmann Aleksander	5·—
18. Kasyno w Żółkwi	5·—	37. Wierzchleyski Kazim.	5·—
19. Kasyno w Żydaczowie	5·—	38. Żdziarski Bruno	5·—

Zapłacili w miesiącu styczniu 1898 prenumeratę na rok 1898.

	zł.		zł.
1. Agopsowicz Kajet.	5·—	29. Garwoliński Hen.	5·—
2. Artwiński Tadeusz	5·20	30. Gintowtt Ubysz F.	5·50
3. Bajewski Ignacy	5·70	31. Głuchowski Grzeg.	5·70
4. Bartmański Feliks	5·—	32. Gnoiński Jan	5·—
5. Baworowski Hr. M.	5·—	33. Gużkowski Jan	5·70
6. Bielański Dr. Gust.	5·—	34. Hopcas i Salamonowa	4·—
7. Bogusz Ksawery	5·—	35. Hulimka Aleksan.	5·—
8. Brudermann Rudolf	7·50	36. Janko Kazimierz	5·—
9. Brunicki Julian	5·—	37. Jankowski Wład.	5.—
10. Bzowski W.	5·—	38. Józefowicz Lud.	5·—
11. Chmielewski Ferd.	5·—	39. Kisielewski Seweryn	5·—
12. Cieński Leszek	5·—	40. Kieszkowski Jacek	5·—
13. Cieński Tadeusz	5·—	41. Kirschner Win.	5.50
14. Czajkowski Witołd	5·20	42. Kliszcz Wilhelm	5·—
15. Czarkowski-Golejewski Tadeusz	5·—	43. Klominek Otokar	5·—
		44. Kłobukowski Wład.	5·—
16. Czarkowska-Golejewska Klementyna	5·—	45. Komorowski Hr. J.	5·50
		46. Komorowski Hr. W.	5·—
17. Czaykowski Hen.	5·—	47. Konarski Hr, H.	5·—
18. Czerkawski Wład.	5·—	48. Konopacki Miecz.	5. —
19. Dembiński E. Hr.	1·80	49. Korasiewicz Leon	2·50
20. Dobrzyński Adolf	5·—	50. Kozicki Juliusz	5·—
21. Dolański Stan.	5·—	51. Koziebrodzki Hr. S.	5.—
22. Drohojowski Hr. B.	5·—	52. Kunz Potioss R.	5·—
23. Dzieduszycki W. Hr.	5·—	53. Kurnatowski Zyg.	5·88
24. Dzierżek Edmund	7·—	54. Lewakowski Alfred	5·—
25. Ekielski Józef	5·—	55. Lewandowski R.	5·—
26. Feuereissel Hen.	5·—	56. Lewicki Włod.	5·—
27. Frenkel Ignacy	5·70	57. Lipiński Lubin	5·—
28. Fredro Hr. Andrzej	5·—	58. Ładomirski	5·70
59. Łastowiecki Piotr	5·—	88. Stojowski Jan Kanty	5·—
60. Łubieński Hr. Fr.	5·—	89. Strawiński Gustaw	5·—
61. Manasterski Seweryn	5·20	90. Szawłowski Ludwik	5·—
62. Matkowski Stanisław	5·—	91. Szczepański Aleksan.	5·—
63. Maultz Józef	2·50	92. Szulc Kazimierz	7·—
64. Miączyński Józef	5·—	94. Szulc Marcin	5·—
65, Miśko Józef	5·—	95. Tarnowski Hr. Jan	·50
66. Mierowa Hr. Felicya	5·—	96. Tarnowski Hr. Jul.	5·—
67 Mochnacki Zygmunt	5·—	97. Tarnowski Hr. Zdzis.	5·—
68. Morawski Tymon	6·60	98. Tchórznicki Wład.	5·—
69 Osuchowski Bronisław	5·—	99. Tow. myśliwskie Brody	5·10
70. Paliszewski Adam	5·—	100. Tow. myśliwskie Kołom.	5·—
71. Pankiewicz Leon,	5·—	101. Treter Piotr	5.—
72. Pawlikowski Konst.	5·—	102. Tyszkiewicz Hr. J.	·50
73. Porawski Kaz.	5 —	103. Tyszkiewicz Hr. Mar.	5·—
74. Potocki Tadeusz	5·—	104. Ubysz Edward	5·—
75. Przybyłowski Stan.	5·—	105. Weiss Artemont	5·—
76. Przybysławski Kazim.	5·—	106. Wiktor Adam	5·—
77. Obertyński Kazim.	5·—	107. Wiśniowski Wład.	5·—
78 Reichardt Aleks.	5·—	108. Wodzicki Hr. Alek.	5·—
79. Remiszewski Kazim.	5·	109. Wodzicki Hr. Stan	5·—
80. Rozwadowski Bron.	5 —	109. Wolańska Hr. A.	5·—
81 Siemieński Hr. Stan.	5·—	110. Wolfarth Bronisław	5·20
82. Scherautz Karol	5·—	111. Wojciechowski Rom.	5·—
83. Skirliński Jan	5·50	112. Wojnarowski Wład.	5—.
84. Stany Bojanów	5·—	113. Wysocki Kazimierz	5·—
85. Stadnicki Stan. Hr.	5·—	113· Wysocki M.	5·—
86. Starzecki Karol	5·—	114. Dr. Zduń Jan	5·—
87. Starzyński Tadeusz	5·—		

(C. d. n.)

KRONIKA.

Nowy środek przeciw uszkodzeniom kultur przez zwierzynę *„Sylwan“*, organ galicyjskiego Tow. leśnego donosi: Wiadomo powszechnie, jakie dotkliwe szkody wyrządza zwierzyna w młodych zarostach drzewnych, szczególnie w kulturach. Na ostatniem ogólnem Zgromadzeniu gal. Towarzystwa leśnego słychać było ze wszech stron skargi i z pewnością uzasadnione, dosyć bowiem przejechać po okolicach, gdzie zwierzyna chroniona rozrodziła się liczniej, ażeby widzieć, do jakiego stopnia te szkody czasem dochodzą, pomimo, że zwierzyna nietylko bywa chronioną ale i pielęgnowaną przez zapewnienie jej żeru w ciągu zimy. Tryzuby i lizawki w takich miejscach zakładane, gdzie zwierzyna nie będąc niepokojoną, mając wodę nawet płynącą, mogłaby się gromadzić, nie odciągają jej od kultur, z których jak najczęściej bywa odpłaszaną; dobieranie pasz więcej soczystych, spuszczanie iw i osik nie wiele pomaga, na kulturach bowiem wygodniej i można przebierać, bo jest w czem, a niekiedy sarny psują jakby dla zabawki. Nietylko jednak leśniczowie skarżą się na szkody przez zwierzynę wyrządzone — nie mówiąc tu o rolnikach, którzy często w przedstawianiu szkód w ziemiopłodach przez sarny i zające przesadzają, wspomnieć należy tylko o ogrodnikach, którym przy małem niekiedy zaniedbaniu ochrony szkółek i sadów, zające często prawdziwie ciężkie szkody wyrządzają, niszcząc bezpowrotnie kilku a nawet czasem kilkunastoletnią mozolną pracę. Największe szkody jednak wyrządza zwierzyna tam, gdzie gospodarstwo intenzywne i umiejętne pociąga za sobą potrzebę szkółek i rozległych kultur.

Próbowano już rozmaitych środków, aby zwierzynę odstraszyć od robienia szkód w kulturach leśnych, ale ze środków tych jedne okazały się wprost nieskuteczne, a drugich skuteczność jest bardzo względną. Do tych ostatnich należą różne smarowidła, które pociągane po drzewkach, po szpilkach, lub gałązkach, miały je swym odrażającym smrodem chronić przed zwierzyną. Używano też w tym celu różnych smrodliwych mieszanin, ciężkich olejów naftowych, mazi pogazowej, smaru przeznaczonego do robienia obrączek ochronnych na pniach przeciwko mniszce itp. Z tych smarowideł niektóre odrażały istotnie zwierzynę od uszkadzania części drzewek niemi powleczonych, ale albo bardzo tylko krótko, albo chroniły wprawdzie, lecz zarazem szkodziły drzewkom, albo były stosunkowo za drogie, co wszystko spowo-

dowało, że jeszcze szukają jakiegoś smarowidła, któreby wad pomienionych nie miało.

Oprócz fabrykantów, próbujących wytwarzania jakichś chemikaliów, któreby się dały użyć jako środek roślinom nieszkodliwy, ale odstręczający od nich zwierzynę, zajmują się tem zadaniem także praktyczni leśnicy i jednym z nich jest p. *Laage* kr. leśniczy rewirowy w Quickborn (Holsztyn), który wynalazł smarowidło mające mieć wszelkie żądane przymioty środka odstręczającego zw erzynę, a roślinom nieszkodzącego: jest nim Pikrofoetidin, o którym szczegółową wiadomość podaje p. K. Garlich w *Oesterr Forst-und Jagdzeitung* z dnia 21. stycznia b. r.

Pikrofetydyn poddawany był rozległym próbom przez wielu leśników i okazać się miał istotnie znakomitym środkiem ochronnym, co też spowodowało pana Goerlicha do podania o nim wiadomości. Jest to bardzo lepki, gęsty, brunatny płyn (gęstwa syropowata) posiadający nadzwyczaj odrażający smród i smak i zachowujący swój syropowaty stan przy wielkiem nawet zimnie. Kora drzew każdego wieku nie doznaje przez niego uszkodzenia, ani też funkcye żywotne jej nie ustają. Dla zwierząt jest nieszkodliwy już przez to samo, że z powodu odrażającego smrodu żadna zwierzyna nie tknie roślin drzewnych, pikrofetydynem zabezpieczonych; nawet w razie najcięższego głodu, podczas ostrych nawalnych zim, zwierzyna unika takich roślin. Ponieważ pikrofetydyn jest we wodzie nierozpuszczalny, przeto nie może być słotą spłukany, ani też nie traci nic ze swych odrażających własności przez dłuższe wystawienie na wpływ powietrza, posiada więc zalety, brakujące dawniej zalecanym środkom. P. Goerlich przytacza orzeczenie, nadesłane mu przez lasomistrza Binzera, który mówi, że miał sposobność kilkukrotnego skonstatowania, że kultury, które latami bezskutecznie chronione innymi środkami przeciwko zwierzynie, siedziały przy ziemi, po użyciu pikrofetydynu szybko podniosły się tak wysoko, że je zwierzyna już nie może przygryzać. Podobne skutki okazały się przy używaniu pikrofetydynu do chronienia drzew owocowych. P. Stroisch w Klicken (Anhalt) posmarowawszy graniczne sosny pikrofedynem zapobiegł skutecznie przemykaniu się sarn poza granicę rewiru, to samo płot osmrodzony pikrofetydynem ochronił rzehak również najzupełniej przed zwierzyną. Z tych przykładów widać, że środek działać może skutecznie w najróżniejszych okolicznościach, gdzie chodzi o zabezpieczenie roślin przed uszksdzeniami przez zwierzynę.

Co do czasu, w którym się pikrofetydynu używa, ten zależy po części od rodzaju spodziewanych szkód; za najodpowiedniejszy czas uważać można wiosnę i jesień. Jak najwcześniej nawiosnę użyty zabezpiecza przed ścinaniem młodych pędów przez sarny, bo jak doświadczenie uczy, wiele szkody wyrządzają sarny już zaraz po ustąpieniu śniegów i ustaniu mrozów, gdy w lecie szkody bywają nieznaczne; kto więc się spóźni, ten może się znaleźć w położeniu, że zabierając się do smarowania ochronnego spostrzeże szkodę już w całości wyrządzoną. Ponieważ pikrofetydyn ani bywa spłukiwany, ani wietrzeje, przeto można go śmiało jak najwcześniej od jesieni zacząć używać, co tem jest korzystniejsze, że łatwiej wówczas o robotników, aniżeli na wiosnę, gdzie wiele innych robót nasuwa się nietylko w lesie, ale i na polach. W jesieni rozpocząć można zaraz po opadnięciu liści powlekanie pikrofetydynem, roślinność bowiem zamierająca na zimę dostarcza zwierzynie coraz mniej pożywienia, która też bierze się do kory, gałązek i pączków, coraz silniej.

Ponieważ pikrofetydyn jest nieco tłusty, przeto powlekanie nim powinno się odbywać w czas suchy, w czas mokry bowiem, gdy gałązki i szpilki są mokre, nie czepia się dobrze. Powlekanie odbywa się za pomocą małych. do smarowania urządzonych puszek, w ten sposób, że pociąga się po gałązkach lub szczytach od dołu do góry. Gdzie zachodzi obawa, że kozły obcierać lub zające ogryzać mogą korę, tam powleka się korę od ziemi tak wysoko, żeby przy wielkim nawet i twardym śniegu zwierzyna nie mogła sięgać ponad zabezpieczona smarowidłem część drzewek. P. Goerlich podaje, że jeden robotnik może w lesie lub szkółce 5 od 8000 drzewek dziennie posmarować, do czego około jednego kilograma pikrofetydynu zużyje; u nas może nie tyle zrobi, ale na każdy sposób można z podanej daty wnioskować, ile możemy potrzebować materyału.

Cena jednego kilograma pikrofetydynu na miejscu jest 4 marki, co wydaje się dosyć drogo, w rzeczywistości zaś koszt nie będzie wielki, ponieważ smarowidło jest wydatne i powta, rzać smarowidła nie trzeba. Adres dokładny jest; *Herr Laage kgl. Revierförster zu Quickborn in Holstein.* R.

Na polowaniu. Przykremu wypadkowi na polowaniu uległa hrabianka Eliza Zamoyska w Podzamczu, w gubernii siedleckiej. Oto, gdy siedzącemu z nią razem na bryczce narzeczonemu hr. Józefowi Platerowi, strzelec oddawał nabitą broń, ta z niedocieczonego dotąd powodu wypaliła. Szczęśliwym trafem w tejże chwili hrabianka podniosła się właśnie z siedzenia, dzięki czemu cały nabój z dubeltówki ugodził tylko w rękę powyżej łokcia. Śrut uwiązł w mięśniach, nie naruszając kości, wobec czego zranienie nie zagraża niebezpieczeństwem.

Wilk. W dniu 2. z. m. w odległości 5 wiorst od Hrubieszowa za Bugiem, włościankę ze wsi Czernihów, Horpinę Dodorog, jadąca saniami parokonnemi, wilk gonił w biały dzień przeszło wiorstę, dopędził ją i wskoczył na sanie, w chwili, kiedy włościanka dojechała do leśniczówki Wygadanki. Tu podleśny Tadeusz Krasowski celnym strzałem z dubeltówki wilka zabił.

Porwany przez orła. Do *Gazety Polskiej*, wychodzącej w Chicago, donoszą z Blackwater w Stanie Ohio, w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, co następuje: „Henryk Kela, farmer w naszej okolicy, pokonał i schwytał „łysego“ orła. który chciał porwać 4-letniego jego bratanka. Chłopczyk bawił się na podwórzu, w tyle domu rodziców, blizko rzeki Blackwater, kiedy nagle spuścił się z góry orzeł i usiłował w szponach unieść w powietrze chłopca. Ten jednak był tak ciężkim, że orzeł nie mógł się ze zdobyczą wzbić w górę. Szpony zaplątały się w odzienie dziecka i w tej chwili p. Kela nadbiegł na ratunek bratanka. Czemprędzej zdjął ze siebie surdut i zarzucił go na głowę orła i tym sposobem pozbawił go wzroku. Następnie związał nogi i szpony wydobył z odzienia, poczem pokonanego orła wniósł do domu. Orzeł mierzy 8 stóp i 11 cali od końca jednego skrzydła do drugiego. Dziecko nie poniosło żadnego szwanku, tylko się tak przestraszyło, że aż dostało spazmów“.

Nowa ustawa łowiecka dla Galicyi i W. Ks. Krakowskiego wchodzi w życie z dniem 26. b. m. Dla prenumeratorów „Łowca“ zrobiliśmy osobną odbitkę tej ustawy z „Dzienika ustaw i rozporządzeń krajowych“ i pierwszy arkusz jej dołączamy do niniejszego numeru. Drugi arkusz dołączony będzie do numeru następnego.

Nekrologia. Śmierć w ostatnich miesiącach wielkie szczerby porobiła w zastępach członków naszego Towarzystwa i dzielnych myśliwych, miłośników łowiectwa powołała na zbór niebieski przed Tron Najwyższego Pana Zastępów.

Literatura łowiecka ciężką stratę poniosła przez śmierć śp. Józefa Łozińskiego, kustosza biblioteki poturzyckiej hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego. Śp. Łoziński niespożyte położył zasługi około „Łowca“. Był pierwszym jego redaktorem, a czasy jego redakcyi należały do najświetniejszych, wówczas byli współpracownikami „Łowca“ śp. Kazimierz hr. Wodzicki, najznakomitszy polski pisarz łowiecki, śp. A. Bartels i w. i. Pierwsze roczniki „Łowca“ zawierają cały szereg jego wybornych artykułów z dziedziny przyrody i łowiectwa.

Andrzej hr. Fredro marszałek powiatu rudeckiego, właściciel dóbr Beńkowa Wisznia, zmarł po operacyi raka, na paraliż serca w bieżącym miesiącu we Lwowie. Śp. zmarły był członkiem i delegatem naszego Towarzystwa i był szczerym przyjacielem naszego pisma. Od czasu do czasu zasilał je swymi wybornymi wierszami. Ostatni p. t. „Koza nie rogacz“, zamieszczony był w „Łowcu“ w roku zeszłym

Stanisław Polanowski, członek izby panów, poseł sejmowy, mąż, który niezwykłe położył zasługi około dobra kraju. W sejmie naszym zajmował wybitne stanowisko, a każdy głos jego, każda rada prawie zawsze były decydującemi. Członkiem naszego Towarzystwa był prawie od jego założenia, należał również przez pewien czas do zarządu centralnego naszego Towarzystwa.

Franciszek Wolfarth, marszałek powiatu brzeżańskiego, właściciel dóbr, długoletni członek naszego Towarzystwa, człowiek otoczony powszechnym szacunkiem i miłością.

Pisma codzienne podały obszerne notatki o tych zmarłych, my tylko w krótkich słowach szkicujemy życiorysy tych zmarłych towarzyszy, którzy przez długie lata dzielnie i wiernie służyli sztandarowi łowieckiemu. Cześć ich pamięci! Niech odpoczywają w pokoju!

Rogacze!!

Szukam sposobności **w którym z rewirów w Galicyi, cieszącym się dobrym stanem zwierzyny,** zapolować na rogacze na podjazd. — Za każdego ubitego przeze mnie szóstaka zapłacę 15 złr., za kapitalne sztuki po 20 złr., Rogi oczywiście należeć będą do mnie.

Ernest Dąbrowski
Wiedeń III. Geologengasse 9.

Poszukuję spólnika

z pewnym kapitałem w celu zakupna i sprzedaży rozmaitych przyrodniczych i łowieckich okazów.

Bliższe szczegóły listownie. — Zapytania po niemiecku należy przesłać pod adresem:

„Weidmannsheil“ 1214. Wien Hauptpostlagernd.

Przez długoletnią praktykę wypróbowane, a nawet w zastarzałych wypadkach pewnie, gruntownie i trwale działające

środki na parchy, choroby skórne i wrzody u psów

są do nabycia u weterynarza

Franciszka Ehrenhöfera
w Neunkirchen (Austrya dolna).

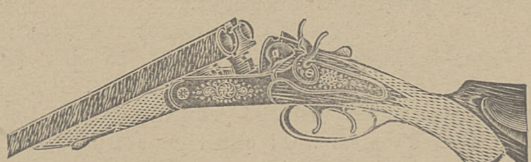
„NA TROPACH“

obrazki przyrodniczo-łowieckie

WŁADYSŁAWA SPAUSTY

wyszły i są do nabycia we wszystkich księgarniach po cenie **3** złr. **20** ct. za egzemplarz.

Prenumeratorowie „Łowca“ mogą jeszcze przez Redakcyę naszego pisma lub wprost w księgarni **Gubrynowicza i Schmidta** we Lwowie, otrzymywać to dzieło po pierwotnej cenie prenumeracyjnej 2 zł. 30 ct. za egzemplarz.



Od dawna zaszczytnie znana fabryka broni i strzelb myśliwskich

Jan Sattmann

w Ferlach (Karyntya).

dostarcza **strzelb wyborowych** do polowania **śrutem** i **kulami**, ze znakomitego **materyału kutego**, solidna robota rusznikarska, dokładnie wypróbowane, po nader niskich cenach.

Towary niekonweniujące bywają z powrotem przyjmowane.

Naprawy wszelkiego rodzaju, **przeróbki** na inne systemy, **nowe oprawy** w drzewo i t. p., będą sumiennie wykonane i jak najtaniej policzone.

Bogato ilustrowane cenniki na żądanie franko.

Parka jamników

rok mających

maści kawowej, jasnej, podżare, bardzo ładne, rasowe, bardzo cięte, ćwiczone na razie tylko na wolności ze starszymi (na tchórzach, lisach, i borsukach, puszczanych do jam sztucznych).

Pies legawy „HEKTOR“

rasy anglo-czeskiej, maści jasno-brunatnej, gładki, bardzo ładny, tresowany *„par-force“*, tej jesieni chodził już nieźle w polu, hasenrein, rok mający.

SUKA „BELLA“

Irish-seter,

maści ciemno-brunatnej, rok mająca, *„par-force“* tresowana, dobra, tak samo w polu nieźle już chodziła.

Pies „ASS“

rasy angielskiej, jasno-żółty w trzeciem polu, bardzo dobry i bez błędu.

WŁ. LEWICKI,
łowczy w Łańcucie.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya „Łowca“: Lwów, pl. Chorążczyzny 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie, ul. Sobieskiego 16. — pod zarządem Fr. Kattnera.